№ 15. Warszawa, dnia 29 Marca (10 Kwietnia) 1886 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

KOBIETY HISTORYCZNE.

PRZEZ

L. S. W.

THÉROIGNE DE MÉRICOURT.

Prawda to odwieczna i niewątpliwa, że jak nie ma nic lepszego nad dobrą kobietę, tak trudno o coś gorszego niż zła niewiasta. Zdanie to znajdujemy już w najdawniejszych zabytkach pismiennych rodzaju ludzkiego, na papyrusach egipskich, w księgach bramińskich, chińskich i hebrajskich, w Biblii i u Homera, a cała historya ludzkości i doświadczenie codzienne stwierdzają prawdziwość tej maksymy. Zaprawdę nie ma takiego poświęcenia, zaparcia się siebie, ofiarności i bohaterstwa, jednem słowem nie ma żadnej cnoty, posuniętej niemal do ideału, do której nie byłaby zdolną kobieta zacna. Istotnie też historya i życie przedstawiają niemało takich świetlanych, idealnych postaci niewieścich, czy to na tronie i śród najwyższych warstw społecznych, czy w nędznej chacie lub klasztorze.

Z drugiej strony, dzieje potworności i zbrodni wykazują pewną ilość postaci niewieścich w świetle przerażającem, i jak kobieta zacna zdolną jest, jak mówi poeta, „prześcignąć anioły”, tak znowu wstrętna magera niejedna chyba dorówna szatanowi.

Niezbyt jest jeszcze dawną, krwawa epoka wielkiej rewolucyi francuzkiej, stanowiąca ostatni dotychczas najważniejszy przełom w dziejach nowożytnych. Szalone nadużycia dworu francuzkiego i klas panujących wywołały groźny ów rokosz klas niższych, ale hasła swobody i wyzwolenia, piękne ideje braterstwa i równości, wygłoszone w początkach owej rewolucyi w roku 1789, utonęły prędko w krwawym potoku nadużyć i szalonych orgii. Miejsce tyranii klas wyższych, zajęła nielepsza bynajmniej tyrania motłochu, a raczej jego przywódzców: burząc gwałtownie dawny porządek państwowy i społeczny, a głosząc swobodę, równość i braterstwo, straszliwi republikanie owcześnie zabrali się do uszczęśliwienia swego narodu przemocą i jęli machać na wszystkie strony krwawym strychulcem.

Gilotyna zmiotła głowy króla Ludwika XVI i jego rodziny, tysiąców arystokratów lub przyjaciół arystokracyi. Niejeden zginął za to tylko, że nosił cienką bieliznę lub używał przy swem nazwisku arystokratycznego dodatku „de”. Inni dali głowy za to, że ubolewali nad ściętymi lub kiedyś zostawali z nimi w przyjaźni. Groza i rozpasanie rozsiadły się w Paryżu w latach 1792 do 1795, aż wreszcie sami rzekomi dobroczyńcy swego narodu i ludzkości, zaczęli mordować się i gilotynować nawzajem, aż w końcu cała ich budowa runęła w gruzy chaotyczne...

W takich to czasach straszliwych, obficie występowały owe demoniczne natury kobiece, o których wspomnieliśmy powyżej. Były to, oczywiście kobiety z gminu, które teraz brały odwet za dawne upokorzenia i niewolę ludu. Niedawno jeszcze przedtem damy wielkiego świata, upudrowane, szeleszczące jedwabiami i lśniące klejnotami księżne i markize, puszczały wodze swym namiętnościom i pozwalały sobie wszelkich nadużyć: ale zmieniły się czasy. Piękne panie uciekały lub ginęły pod gilotyną, a miejsce ich zajęły przekupki paryzkie i kobiety z ludu. Zawiść i nienawiść względem bogatszych i możniejszych, pragnienie zemsty oraz właściwe namiętnym naturom zadowolenie ze spustoszenia i ruiny, jednem słowem najgorsze instynkta natury ludzkiej wylały się w rozpasaniu bez granic. Kobiety nawet wodziły rej w szalonych tych orgiach motłochu, jak np. w dwukrotnym napadzie na rezydencyą królewską (1792 r.) i całym szeregu zaburzeń ulicznych. Tłumy rozbestwionych kobiet oblegały salę posiedzeń stra-

szliwej konwencyi. Domagając się głowy tego lub owego ze „zdrajców ludu”, żądając darmo chleba lub narzucając prawa owemu najwyższemu zgromadzeniu. Przekupki paryzkie (*les dames aux halles*), po większej części stare i brzydkie, jak owe czarownice w szekspirowskim Makbecie, okazywały się najzacieklejszemi terorystkami. One to najgłośniej wrzeszczały na zbiegowiskach, one biegły za wiezionemi na śmierć niewinnemi ofiarami gilotyny, wygrażając im pięścią i złorzecząc, lub słały za niemi przekleństwa, siedząc przy swych straganach z pończochą w ręku (ztąd historya nadała tym wstrętnym megerem miano *les tricoteuses* pończosznice.)

Prąd czasu porywał ze sobą natury namiętne, okoliczności rozdmuchiwały złe instynkta. Niektóre jednak z tych „meger” miały pobudki osobiste, które je popchnęły w wir wypadków. Do takich właśnie należała Théroigne de Méricourt, sławna z piękności, zwana przez jednych „wściekłą megerą”, przez innych „najdzikszą heroiną” wielkiej rewolucyi. Niektórzy zapaleni jej zwolennicy porównywali ją z bohaterkami starożytnego świata, jak np. z bajeczną Pentezileą, królową Amazonek, która ongi pod murami Troi walczyła z samym Achillesem; inni widzieli w niej nową Dziewicę Orleańską, gdyż i Théroigny, podobnie jak Joanna d'Arc, chciała wyzwolić i ocalić ojczyznę...

Na tem jednak kończy się podobieństwo obu tych postaci, podobieństwo zaiste niewielkie, gdyż i wartość moralna i środki działania obu bohaterek były zupełnie odmienne... Co najwyżej możnaby dodać jeszcze to tylko, że i Théroigne była dzieckiem ludu, jak Joanna i że „dzika heroina” okazywała niekiedy taką samą energią, jaka odznaczała świetlaną postać dziewicy z Damremy.

Anna Józefa Lambertyna Théroigne przyszła na świat w Méricourt pod miastem Liege (dziś w Belgii) pomiędzy rokiem 1759 i 1762. Była dzieckiem pospolitych wieśniaków; głośną zaś swą rolę i burzliwe przygody życia zawdzięczała swej niezwykłej piękności. Wysoka i majestatyczna, o kształtach cudnie harmonijnych, miała rysy posągu greckiego i cudne czarne oczy. Gdy miała lat siedmnaście, wpadła w oko jakiemuś młodemu paniczykowi z sąsiedztwa. Dziewczyna pokochała go prawdziwie i namiętnie, a on... (stara to znana historya) niebawem porzucił ją znudzony. Zostawszy pośmiewiskiem rodziny i znajomych, biedna dziewczyna uciekła z ojczyzny i oparła się aż w Londynie. Jej piękność zajaśniała w stolicy Anglii takim blaskiem, że podobno hołdował jej nawet sam książę Walii, następca tronu, ów „pierwszy dżentelman Europy”. Théroigne zawiązała tu stosunki z wielkim światem i zaczęła kształcić swój umysł czytaniem książek poważnych i obcowaniem z ludźmi światłymi. Poznała tu także bawiącego chwilowo Filipa, księcia Orleanu, ojca późniejszego króla Francuzów, Ludwika Filipa.

Odgłos zdumiewających świat cały wypadków paryzkich powołał Annę Józefę do Paryża. Pierwsza młodość już była przeminęła, Théroigne dobiegała, niestety, trzydziestki; pomimo to, słynęła jeszcze z piękności, a gdy rzuciła się w wir rewolucyi, zapał jej i energia budziły podziw powszechny. Brała udział we wszystkich wypadkach spółczesnych i nieraz była przywódczą tłumów ludowych. Ubrana w niebieską, sukienną amazonkę, w kapelusiku męzkim *à la Henri IV*, z nieodstępną w ręku szpicrutą, szła z tłumem zdobywać Bastylią lub uprzątać broń i działa z arsenału, uczęszczała na posiedzenia zgromadzenia narodowego i klubów republikańskich, gdzie wygłaszała ogniste mowy. Za szturm Bastylii otrzymała od ludu szablę honorową, a klub Kordelierów obrał ją swym członkiem.

Gdy przemawiała raz w klubie, zachwyceni słuchacze nazwali ją „mądrą królową Saby.”

— Tak jest — zawołała Théroigne, podchwytując to porównanie biblijne— przybywam do was, jako królowa Saby do Salomonów. Obyście, jak Salomon, zbudowali świątynię swobody! Oto mój wniosek: plac Bastylii jest pusty, a sto tysięcy robotników jest bez chleba, wybudujcie więc na tym placu gmach posiedzeń dla zgromadzenia narodowego! Niech kraj cały pospieszy ze składkami, niech kobiety złożą swoje klejnoty na ołtarzu ojczyzny: ja pierwsza to uczynię...

Nie urzeczywistnił się jednak ten wniosek zapalonej republikanki.

(*Dokończenie nastąpi.*)

DAWNE PIOSNKI.

Tajemnicze jakieś dźwięki,
Dziwnej słyszą się piosenki...
Znam je, znam je z dawnych lat.

Kędy Wisła hoża płynie,
Raz jechałem na wicinie,
Ja i Jędrzej, Stach mój brat.

W lat zaraniu wtedy byłem,
Całą piersią, sercem żyłem,
O! nie znałem co to żal.

Tam pójść w tany w dźwięk skrzypicy,
Spodobać się krasawicy,
Złapać wianek z rączych fal...

Tylko sercu było miło,
Lecz niedługo tak się żyło,
Ktoś mnie przeklął nie wiem sam.

Popłynąłem na wicinie,
Kędy Wisła hoża płynie,
Ileż smutków było tam!

Lecz przeżyły się te troski,
I nie ujrzę już tej wioski,
Gdzie mnie pierwszy spotkał żal.

Teraz pusto w mojem łonie,
Gdy nie słyszę piosnki w stronie,
Co tak rzewnie płynie w dal.

Bo to dźwięk tak sercu miły,
Drogie kryje mi mogiły,
Mniejsza o to jużem dziad!

Teraz bawi mnie fajeczka,
Czasem w karczmie z żydem sprzeczka,
Oj to łajdak pal go kat!

Kędy Wisła hoża płynie,
Raz jechałem na wicinie,
Ja i Jędrzej, Stach mój brat...

Ha, co bajać o przeszłości,
Czyż nie dosyć już żałości,
Toć ma piosnka z dawnych lat!

Konrad Packiewicz.

UMARŁA.

PRZEZ

Oktawiusza Feuillet.

PRZEKŁAD

Joanny Belejowskiej.

CZĘŚĆ TRZECIA.

(Dalszy ciąg.)

Dziwna rzecz! jakkolwiek ten misyonarz nauki i wolnej myśli, w przekonaniu pani de Vaudricourt mógł być tylko rodzajem niebezpiecznego nihilisty, przecież mimo to polubiła go bardzo a i doktor Tallevant pomimo swoich religijnych uprzedzeń cenił bardzo swoją sąsiadkę arcy-katoliczkę. Wprawdzie pan Tallevant unikał starannie wobec Aliety najlżejszego słówka mogącego razić religijne jej wierzenia i tylko z Bernardem swobodnie rozmawiał, poznawszy wprędce, że jest równym mu wolno-myślicielem.

Gdy Sabina czasowo przebywała w pałacu, opiekun jej często przychodził tam na obiad i najczęściej wracał do siebie piechotą. Pan de Vandricourt odprowadzał go często do połowy drogi. W ciągu tych częstych i długich sam na sam, rozmowy ich stawały się coraz poufniejsze, przyjaźń coraz ściślejszą. W tych pogadankach swoich, niejednokrotnie rozbierali kwestye religijne i Bernard zadziwił się, że mówiąc o tym przedmiocie, pan Tallevant nie uciekał się do wolterowskich drwinkowań, nie unosił się gburowatą zapalczywością antyklerykalną. Mówił o tem łagodnie, poważnie i z uszanowaniem, jak człowiek wyższego umysłu, niedający się porwać jakiejś nienawistnej namiętności. Mówił nawet z pewnem przejęciem religijnem, bo miał swoją wiarę, a że była szczerą i gorącą, unosił się niekiedy zapałem apostołowania. Pod względem religijnym nie dopuszczał indyferentyzmu i starał się przedstawić to Bernardowi.

Według pana Tallevant, jeźli ktoś utracił wiarę w ideał chrześciański, nie powinien przynajmniej wyrzekać się jakiejś idealnej religii, jeżeli nie chce powoli spadać do zezwierzęcenia... Człowiek wyższego urodzenia, poprzestający na tem, że w nic nie wierzy, może jeszcze być czas jakiś powstrzymywany oddziaływaniem pierwotnego wychowania i zewnętrzną konwencyonalnością swej towarzyskiej sfery; jednakże w rzeczywistości poczucie obowiązku i godności moralnej, jako żadnej niemające podstawy, zaciera się w nim coraz silniej, a jedynym jego celem życia, stają się łatwe, poniżające rozkosze... I tak, pod cywilizacyjnym polorem, spada stopień po stopniu do moralnego poziomu murzyna, a im więcej posuwa się w lata, tem upadek ten jest głębszym i wstrętniejszym... Nawet umysł i pojęcia jego obniżają się i ścieśnia-

ją; pod względem umysłowym zajmują go tylko rzeczy błache, powierzchowne, poniekąd materyalne... Nie czytuje nic prócz romansów i dzienników, pod względem przedstawień teatralnych, podobają mu się tylko utwory podrzędne, przemawiające jedynie do zmysłów... Przyznaj sam, kochany przyjacielu, że są to dzieje ludów, utracających wszelką wiarę w ideał!

— Tylko poczucie religijne i wiara w ideał, mówił dalej, mogą natchnąć człowieka wolą, siłą i zamiłowaniem do szlachetnego spełniania swego zadania, przez poświęcenie swego życia kultowi dobra, prawdy i piękna a każdy rozumny człowiek może dojść do tej idealnej wiary, przez badanie przyrody, to jest przez naukę. Przez naukę też pan Tallevant zdołał wznieść się do tej wiary, podtrzymującej go w ciężkiej pracy naukowej, będącej zarazem dziełem propagandy: gdyż nauka to popycha go do pełnienia dobra, jakie roztacza w koło siebie.

I wymownie i podniosłym stylem tłomaczył Bernardowi jaką jest owa jego filozoficzna religia, my poprzestaniemy na krótkiem streszczeniu jego teoryi.

W ciągu długich swoich badań naukowych, pan Tallevant wyrobił w sobie przekonanie, że boskie dzieło kreacyi nieskończenie kontynuje się w świecie; że każda istota rozumna może z swej strony przyczyniać się i poniekąd współpracować w tem dziele udoskonalenia i progresyjnej harmonii, że jest to obowiązkiem każdego, a czyste jego spełnienie i przekonanie, iż dopomaga do wzniosłego celu, powinno być nagrodą i rozkoszą życia.

— Ależ, doktorze, czyż możesz obiecywać sobie, że zdołasz nawrócić do twej religii filozoficznej całe masy, słowem lud? Nie ujmuję jej wzniosłości, ale przyznasz, że wymaga wyższego ukształcenia umysłowego.

— To też nie łudzę się tem bynajmniej, a zresztą nie jest koniecznem. Dość będzie nawrócić najprzedniejszą cząstkę, a wybrana ta cząstka tak kiedyś spotężnieje, że zapanuje nad tłumem i zniewoli ją do spełnienia obowiązku, siłą moralną lub przemocą.

— Wiesz co, doktorze — zawołał Bernard — jesteś strasznym arystokratą.

— Nie przeczę. Czyż miałeś mnie za demagoga, dlatego, że się oddałem nauce? Dziwna to myśl a mimo to bardzo rozpowszechniona, choć najzupełniej sprzeczna z prawdą. Nauka jest przyrodzoną nieprzyjaciołką demokracyi, ponieważ z natury swej jest wrogiem ciemnoty, a więcej jeszcze mierności... Wszak demokracya może tylko nieumiejętnych podnieść do miernoty, a straszny to postęp!... Co do mnie, lituję się nad słabymi, ciemnymi i nędznymi, ale nigdy, nigdy nie będę schlebiać ich namiętnościom i nie ulegnę ich przewadze.

— Wierzaj mi przyjacielu — dodał po chwili, wracając do swych pojęć religijnych, że jest-to błogość niewysłowiona czuć się w prawdzie i że tak powiem, krok w krok postępować za Przedwiecznym, dopomagając do jego wielkiego dzieła. Co do mnie napawa mnie to niebiańską pogodą myśli, którą jedynie zakłóca niekiedy obawa, czy zdołam doprowadzić do końca dzieło, któremu poświęciłem życie.

— Skądże znów taka obawa; jesteś w sile wieku, kochany doktorze.

— Zapewnie, ale... *Ars longa, vita brevis*... A potem, głowa czasem nie domaga i serce mam za duże... co zniewala mnie ograniczać godziny pracy... To jedyne moje zmartwienie.

VII.

Tegoż wieczora w którym doktor Tallevant i Bernard prowadzili na drodze do La Saulaye rozmowę, którą podaliśmy w streszczeniu, pani de Vandricourt grała czas jakiś, spełniając prośbę Sabiny, a następnie, czując się znużoną, przeprosiła ją, że dłużej pozostać nie może i pocałowawszy jak zwykle przeszła do swego pokoju. Było w połowie Maja; jak cały dzień tak i wieczór był bardzo piękny i ciepły. Alieta stanęła w oknie, aby nim się zacznie rozbierać odetchnąć jeszcze dochodzącą do pokoju świeżą wonią młodej zieloności, pierwszych fijołków i leśnych konwalii.

Niebo błyszczące gwiazdami, roztaczało białe od gwiazd odbite światło na rozwijające się liście i po nad całą wioską. Zatopiona w zadumie, pani de Vandricourt drgnęła nagle, spostrzegłszy cień panny Tallevant, przesuwającej się aleją parku; zdążała ku ulicy stanowiącej najbliższą drogę do La Saulaye.

Było już około jedenastej, gdy rozstawszy się z doktorem, pan de Vandricourt wracał do Valmontiers. Idąc laskiem, dostrzegł w bladem półcieniu kobietę idącą ku niemu; szła cichym, lekkim krokiem, głowę jej i biust osłaniała koronkowa zarzutka, jaką zwykle noszą Hiszpanki. Poznał ją odrazu, bo w tejże właśnie chwili przyzywał jej postaci, wstrząsającej całą jego istotą, pragnąc ujrzeć ją w uroczem otoczeniu tej cudnej wiosennej nocy. Doznał tak gwałtownego wzruszenia, iż serce nagle bić przestało, poczem wstrząsnąwszy się nagle, zaczęło silniej uderzać.

Niebawem oddzielało ich kilka już tylko kroków.

— Ah! panna Sabina! — rzekł Bernard spokojnie — sądziłem, że to duch jej tylko.

— Nie, nie duch mój, ale ja w swej własnej osobie — odpowiedziała równie spokojnie. — Nęciła mnie piękność ślicznego wieczoru i zwróciłam się w tę aleję, z nadzieją, że może spotkam pana.

— O! nie wierzę temu... Myślę, że wyszła pani, aby przy świetle gwiazd zbierać w lesie czarnoksięzkie zioła.

— Tak, niby jak czarownica?

— Jak młoda, urocza czarodziejka.

— Zbytek dobroci!... Wszak wracamy?

— Jeźli pani tak chce.

— Naturalnie, że chcę tego.

Zawróciła ku pałacowi w towarzystwie pana de Vandricourt. Wbrew zwykłemu zachowaniu, zdawała się nieco zmięszana; z roztargnieniem ciągle z jednej ręki zdejmowała i wkładała rękawiczkę.

— Jakież to dziwne odgłosy dają się w nocy słyszeć w lesie — rzekła po chwili.

— Czy bała się pani?

— Cóż znowu!... tylko parę razy zdawało mi się że słyszę jakieś kroki między zaroślami.

— Nic to niepodobnego; nie brak tu kłusowników.

— I kłusowniczek — dodała śmiejąc się.

— Mniejsza o kłusowniczki — odrzekł tymże tonem Bernard, te mi już krwi nie psują... Czy pozwoli pani podać sobie ramię?

— Nie, dziękuję.

Chwila milczenia, poczem zapytała.

— O czem pan rozmawiał z moim opiekunem?

— O rzeczach bardzo poważnych, o naukach filozofii, religii...

— Może to bardzo zbawienny wpływ wywrzeć na pana.

— Pragnąłbym tego — odpowiedział — ale dotąd daje mi tylko uczuwać coraz boleśniej jak wielka przestrzeń dzieli mnie od takiego człowieka jak opiekun pani... Gdybym był tak jak on poświęcił życie moje pracy i nauce, zamiast marnować je na bezmyślne uciechy, byłbym dziś lepszy i szczęśliwszy.

— Tak pan sądzi?... Lepszym, być może... nie byłoby w tem nic trudnego... ale czy szczęśliwszym?... niech mi wolno będzie wątpić o tem... Wiadomo panu jak wiele oddawałam się naukom, nie ma jednej konstellacyi, której nie znałabym nazwy, układu i obiegu, nie ma owadu uśpionego w tych zaroślach, którego nie znałabym organizmu, rodzaju i gatunku, jednego kamyka na tej drodze, którego wieku geologicznego nie umiałabym wykazać... jednej odrobiny mchu, jednej kropli rosy, której nie zdołałabym zanalizować i określić jak najdokładniej... a bynajmniej nie mam przekonania, że jestem przez to szczęśliwszą, ani nawet lepszą!

— Zdaje mi się, że sama tylko pani wie co się dzieje w jej głowie i sercu.

— Bardzo to być może.

— Panno Tallevant?

— Panie de Vandricourt?

— Czy w tej samotności mogę się ośmielić zapytać panią, jaką wyznajesz religię?

— Naturalnie, że religię mego opiekuna.

— I myśli pani, że dałaby ci dostateczną siłę do oparcia się wszelkim pokusom świata, nawet najsilniejszym, nawet najstraszliwszym?

— Dawała mi ją dotąd.

— Powinnaby więc pani mnie w nią wtajemniczyć... bo wuj jej pomimo głębokiego swego przekonania i wymowy, dotąd przekonać mnie nie zdołał... a przecież nigdy jeszcze więcej nie potrzebowałem pewności i hartu sumienia, jakie tylko silna wiara dać może.

— Panie de Vandricourt, czy rzeczywiście pragnie pan abym go wtajemniczyła w moje zasady religijne?

— Pragnę tego jak najgoręcej.

— Za wielką by to sprawiło przykrość żonie pana.

— Żona moja wie dobrze, iż wierzeń jej nie podzielam i nigdy podzielać nie będę — odpowiedział poważnie.

— Nie! byłoby to dla niej nader bolesne — odpowiedziała — a ja żonę pana lubię bardzo, bardzo!... A potem, widać już oświetlone okna pałacu, więc i czasu by nam na to zbrakło... pana nawrócić, niełatwe musi to być zadanie!... A nadto...

— Nadto?...

— Nie jest pan wtajemniczony... nie zrozumiałbyś mnie.

— Dziękuję za dobrą opinię... ale zawsze sprobuj pani... tak lubię głos twój... Jeźli nie zrozumiem słów, melodya jego mi wystarczy.

— Panie de Vandricourt, czy można prosić, abyś nie prawił mi słodkich słówek?... Wolę daleko kiedy mi mówisz impertynencye... gdyż lubię oddawać za nie wet za wet... A zresztę jest-to jedynie możliwa i stosowna między nami rozmowa... wszak zrozumiał mnie pan?

Podniosła głowę, zwykły jej uśmiech sfinksa rozchylił jej usta, zwróciła ku niemu swą piękną twarz, którą światło gwiazd czyniło bledszą.

Zatrzymał się, pochylił nieco ku niej, orzucając namiętnem spojrzeniem.

— Sabino! — zawołał stłumionym głosem — czemuż, ah! czemuż przepaść nas rozdziela!...

Jak gdyby łając go i upominając, ręką swoją, z której zdjęła rękawiczkę, położyła na ręce Bernarda.

— Panie! — rzekła łagodnie.

Zatrzymał jej rękę, nie zbyt małą ale śliczną kształtem:

— Błogosławiony, kto będzie mógł wesprzeć się na tej ręce, tak pięknej, tak delikatnej a tak mężnej! — szepnął i nagle podniósłszy do ust, okrył gorącemi pocałunkami.

Wysunęła prędko rękę i zawołała odsuwając się od niego:

— A! panie; jestem tu sama... bez opieki... ufając...

— Przebacz pani!

— Czyżbym się myliła, uważając pana za uczciwego człowieka?

— Uspokój się pani i bądź o tem przekonaną.

— Zobaczymy.

Nastało milczenie, weszli do pałacu nie zamieniwszy ani słówka.

W kilka chwil później, weszła do niego i pani de Vandricourt, bocznemi drzwiami, prowadzącemi do tylnych schodów jej apartamentu, które wychodząc zostawiła otwarte.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

RYCERZ MORA.

(Dalszy ciąg.)

— Już idą!—zawołała Kasztelanka bledniejąc i załamując ręce. — Co tu czynić! co czynić?

Służebne także pobladły i dygocąc całe, nie śmiały się ruszyć, a Bartek, mając zaprószoną głowę, bił pięścią w stół i krzyczał:

— Szaniawski! ja powiadam, że to obwieś ostatni. Jemu barany paść na piaskach podlaskich a nie komenderować w Krzepicach. Jego komendantem uczynili! Jak Boga kocham, te Szwedy to się wściekły!

I wyciągnąwszy nogi przed siebie, rozwalił się na zydlu i wołał:

— Jaguś! Jaguś! moje ty kochanie!

Był całkiem pijany. Ciepło panujące w komnacie rozmarzało go jeszcze bardziej, a krzyczał tak, że go nietylko na schodach ale i na dziedzińcu zapewne słychać było. Wszystkie dzieweczki potruchlały i ruszyć się nie śmiały, nadsłuchując kroków na schodach. Jedna tylko Jagusia nie straciła przytomności. Skoczyła do Bartka, zatykając mu usta białą rączką i szepcząc mu do ucha:

— Cicho bądź Bartku, cicho, jeżeli mnie choć krztę miłujesz?

— Czy ja cię miłuję Jaguś! Jak Pana Boga kocham, miłuję cię okrutnie. Żebym tu zaraz skiśniał, żebym na psa ostatniego zeszedł, jeżeli to nieprawda. Ja, jak Pana Boga kocham, kiedy sobie wspomnę, jak cię matuś srogo katowała, to mi się tak ckliwo robi, że chcę beczyć...

I rozbeczał się na dobre. Łzy mu jak groch kapały z oczów, a ryczał przytem tak głośno, że omal szybki w okienku nie brzęczały. Nie było sposobu go utulić. Jagusia w rozpaczy, słysząc zbliżających się już do drzwi, skoczyła do tych drzwi, żeby je zasunąć, ale było już za późno. Do komnaty wszedł komendant Szaniawski, a za nim kilku szlachty i oficerów szwedzkich.

Szaniawski, spostrzegłszy Bartka, rzekł wskazując nań:

— Otóż go macie!

Bartek, usłyszawszy głos Szaniawskiego, zerwał się na równe nogi:

— Szaniawski! Podlasiak!...

I chciał ku niemu podbiedz, gdy nagle zatoczył się i runął jak długi na podłogę.

— A toście go waszmość panny uraczyły! — rzekł z ironicznym uśmiechem Szaniawski, poglądając na cztery wystraszone dziewczyny.—Urżnął się jak bela.

— No — obrócił się do swoich — wziąć go!

Na te słowa wysunęła się Jagusia i zasłaniając sobą Bartka, zawołała groźnie dotykając rękojeści swej szabli:

— My pana Koszarskiego wziąć nie damy!

— A ty dzierlatko! — zaśmiał się Szaniawski a za nimi inni, ciekawie przypatrując się Jagusi, która zarumieniona od gniewu i wstydu, z płomieniami w oczach i postawą rycerską, wyglądała prześlicznie.

— Ładna dziewoja! — rzekł któryś z gromady.

— Niczego, ale po kiego dyabła ona się po mężku przebiera?

— To niesłychane!

— Za to na stosach palą!

— Co tam stosy! dziewucha jak malowanie!

— A! ten opój ma dobry gust!

— I z dziewuchą tak jeździ!

— A z dziewuchą!

Znowu śmiechy i spoglądanie na Jagusię. Kasztelanka tymczasem oprzytomniała i z miną królowej zwróciła się do Szaniawskiego:

— Mości panie komendancie, każ waszmość tym ichmościom ztąd wyjść albo milczeć!

Umilkli wszyscy i w izbie zrobiła się cisza jak makiem zasiał, a Szaniawski ozwie się:

— Jaśnie wielmożna panno Kasztelanko, tylko niezwyczajne wypadki zrządziły...

Ale kasztelanka przerwała mu jego usprawiedliwianie się gestem rączki i rzekła:

— Po co waść chcesz zabrać tego szlachcica?

— Narobił nam takiego bigosu, że mam biedę jak po szturmie i kilku rannych ludzi. Juścić nic mu nie uczynię, choć najlepiejby było obwiesić hultaja na baszcie, ale mi idzie o generała Horna. Nic mu więc nie uczynię, jeno go zamknę do jutra rana, by więcej braweryi nie robił. Szalona pałka jest i upił się widzę jak bela.

Istotnie Bartek leżał jak kłoda na ziemi i spał, mrucząc coś ciągle pod nosem. Z wielkim trudem i mozołem podniesiono go z ziemi, czemu już wreszcie Kasztelanka i Jagusia nie oponowały i wyniesiono. Na schodach, na chłodzie, Bartek trochę otrzeźwiał i począł się rzucać i kląć, ale go uspokojono i tak zaniesiono do owej komnaty w baszcie z której był wyszedł i tu ułożono na twardem łóżku, na którem wkrótce Bartek zasnął snem ciężkim i niespokojnym, chrapiąc głośno.

Nazajutrz, o świtaniu, Szaniawski w towarzystwie Kasztelanki, Bartka i Jagusi, oraz dziesięciu zbrojnych ludzi, ruszył na miejsce spotkania dla wymiany Horna.

XI.

W obozowisku polskiem, po wyjeździe Bartka i Jagusi, ukrytej pod przezwiskiem rycerza Litawora, wrzała radość i wesele. Zapasy żywności, napojów i paszy nagromadzone na rozkaz Szwedów, usposabiały wszystkich jak najlepiej. Starszyzna wraz z Hornem pomieściła się w obszernej chacie leśniczego, wojsko jak mogło po chałupach, stajniach i oborach. Ze zdobytych na Szwedach koni wysztywtowano jazdę, tak że piechoty niewiele pozostało, co się niebardzo podobało Żwanowi, ale na co nalegał Lniski, mówiąc, że jeżeli chcą coś zrobić, muszą się ruszać szybko, odbywać wielkie drogi i znajdować się naraz w kilku miejscach. Droga, wiodąca do Kłobucka, obstawiona została strażą z nakazem nie puszczania tam nikogo, pod żadnym pozorem. Szło o to, żeby wieść o klęsce Horna, jak najpóźniej się rozeszła.

Po południu, kiedy Boruta dziwy opowiadał o swej żonie, tak, że nawet Lniski się śmiał głośno a inni pokładali się od śmiechu, dano znać, że od Krzepic przyjechała karocą, w towarzystwie dziesięciu zbrojnych hajduków, jakaś wielka pani i nie powiadając kim jest, chce koniecznie widzieć się ze Żwanem.

— Ale któż to może być! — pytał zaciekawiony Żwan.

— A cóż nam, panie bracie, do tego? — wtrącił Boruta. — Od Krzepic jedzie, więc zapewne w sprawie Horna. Przyjąć należy a przyjąwszy, dowiemy się zaraz, kto ona jest, ta wielka pani.

Poproszono więc owej pani i wkrótce przed domek leśniczego z szumem, brzękiem i trzaskiem zajechała karoca starościny warszawskiej, pani Grzybowskiej, tej samej, którą na drodze spotkał był Bartek Koszarski. Wszyscy, co byli w chacie leśniczego i Żwan i Boruta i Żaba, oprócz Lniskiego, który się nie ruszył wcale z kąta i milcząc popijał wino, poskoczyli do okna przypatrzeć się tej pani.

— Strojno i zbrojno — rzekł Boruta — ale cale nie poznaję, kto to może być?

Dopiero kiedy nakoniec z karocy ukazała się sama starościna i dwóch hajduków, zeskoczywszy z koni, wzięło ją na ręce i wyniosło na ganek dworku, dopiero Boruta, klasnąwszy w ręce, zawołał:

— Starościna warszawska! otóż masz! ta baba to wszędzie się wściubi.

Na ten wykrzyknik, Lniski podniósł się z kąta i rzekł:

— Czy to pani Grzybowska?

— Tak.

— Guldenstern de domo?

— Tak pono... a nawet gadają, że tam kiedyś król Jan Kazimierz cholewki do niej smalił i pono nie była mu zbyt sroga! — prawił krzywiąc się i oczyma strzelając Boruta.

Lniski nic na to już nie odrzekł, jeno swym drewnianym krokiem ruszył do kąta, z którego był przed chwilą wstał. A już też drzwi z trzaskiem się otworzyły i do izby wtoczyła się imcipani starościna, szeleszcząc ciężką suknią i futerkami, które miała na sobie. Weszła i posuwając się na środek izby, nieco przyciemnej, ile że to było w listopadzie i wśród boru, oglądała się dokoła, rozsiewając od siebie mocny, duszący zapach larendogry.

— Któż tu jest pan Żwan? — spytała nakoniec.

— Jam jest! — rzekł Żwan, wysuwając się na środek.

— Ah, to waszmość! proszę bardzo! ja cię panie Żwanie gdzieś widziałam już. Ah! ah! u kasztelana krakowskiego. Już wiem, już wiem!—poczęła klaskać w ręce—tośty podarował panu Warszyckiemu wieś! och, ja wiem wszystko, wiem... *Il y va de l'amour!* Otóż to, otóż to! Ale proszę mi dać jaki stołek. Ciężko ubrana jestem...

Boruta żwawo podsunął jej swój zydel i kłaniając się po kawalersku, rzekł:

— Witam jaśnie wielmożną panią starościnę w naszym obozie?

— Boruta! *excusez*... pan Boruta tutaj! Ktoby się był spodziewał, że ja waszmość pana napotkam. Ale co ja też mówię, jakżeby to być mogło, żebyś ty tu nie był. Ale to tu cały powiat widzę jest. Cóż to, powiedzcie mi, konfederacya, czy co? bijecie Szweda?...

Obejrzała się dokoła:

— A nikt tu nie słyszy?

I spostrzegłszy ciemną, ukrytą w kącie postać Lniskiego, spytała:

— Któż to jest, co tam siedzi?

Zatrzeszczał zydel, na którym Lniski siedział; przez chwilę panowało milczenie, aż nakoniec rycerz ten podniósł się ciężko i ruszył prosto, jakby go z drewna wyciosał, ku starościnie. Przyszedłszy przed nią, stanął i nie skłoniwszy się wcale, rzekł swym ponurym, grobowym głosem:

— Jam jest...

Starościna, rzuciwszy nań okiem, nagle zerwała się na równe nogi, cofnęła się gwałtownie i zakrywając twarz rękami, krzyknęła:

— Wielki Boże! co widzę!...

Lniski nie ruszył się wcale. Na jego posępnej, zoranej twarzy, nie widać było żadnej zmiany. Stał i patrzał swemi maleńkiemi oczkami na starościnę, która drżała cała, jakby w febrze.

— Tak, to ja, Samuel Lniski! — ozwał się po chwili — mnie to waszmość pani widzisz, pani Lodowiko! To ja...

— Zkądżeś się tu wziął? — zawołała wreszcie starościna, dziwnie wzruszonym, trzęsącym się głosem — z grobu chybaś wstał?

— A może i z grobu! — odparł Lniski. — To pewna, że od roku po grobach jeno stąpam i groby kopię.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ODCZYTY JERZEGO BRANDESA

O ROMANTYZMIE POLSKIM.

Gdy Brandes, znakomity krytyk duński, zapowiedział odczyty swoje o romantyzmie polskim, zajęcie ogółu silnie rozbudzonem zostało. Znaliśmy już Brandesa z jego odczytów przeszłorocznych, znaliśmy go już zresztą jako autora „Głównych prądów literatury XIX stulecia", ceniąc jednak wysoko jego umysł krytyczny, bystrość spostrzeżeń i metodę badań, nie wiedzieliśmy, jak się wywiąże z obranego przez siebie zadania. Byli nawet tacy, którzy wątpili, żeby to było możliwem, przy zupełnej nieznajomości języka polskiego i przy niedokładnych i nielicznych tłomaczeniach. Pokonał jednak Brandes wszelkie trudności i chociaż nam nie dał skończonego obrazu najświetniejszej epoki naszej literatury, rozświecił ją jednak kilku świetnemi rysami, naznaczył wybitne a zarazem całkiem odrębne stanowisko wśród ówczesnego romantyzmu, zrozumiał jej ogólny charakter, a zarazem charakter narodu. Wnioskami zaś wyprowadzonemi z poznania poezyi polskiej i jej przedstawicieli, uradował serce i ducha pokrzepił. Wobec tego wszystkie braki i niedokładności, któreby się wykazać dały, łatwo mogą być wybaczone, zresztą były one nieuniknione z powodu niedostatecznego obznajmienia się z naszymi poetami. Najgorzej na tem wyszedł Słowacki, którego nazwał pawiem, porównawszy wprzód Mickiewicza do orła, Krasińskiego do łabędzia. Zarzucał mu także naśladownictwo, przeważnie Szekspira i Dantego, przyznając jednak wielką obrazowość i prześliczny język. Przypuszczać można, że poznanie w oryginale Anhelego, Ojca zadżumionych, Grobu Agamemnona i tylu innych klejnotów poezyi, zmieniłoby zdanie Brandesa o Słowackim, któremu obok barwności przyznał by więcej cech oryginalności i wyższości.

We wstępie zaznaczył Brandes, że nie ma zamiaru badać literatury polskiej, lecz chcę ją tylko przedstawić w stosunku do innych literatur i tak jak się ona odbija w umyśle czytelnika europejskiego.

W Danii istniała od dawna sympatya dla Polski w skutek pewnego podobieństwa losów i sangwistycznego temperamentu mieszkańców. Niczego się jednak od siebie te narody nie nauczyły i do 1830 r. mało o sobie wiedzą. W polskiej literaturze spotykamy wspomnienie Danii w pamiętnikach Paska, który tam czas jakiś przebywał, kochał się nawet w córce obywatela duńskiego, ale powróciwszy do ojczyzny dwie tylko rzeczy z sobą przywiózł: drewniane trzewiki i botforty, których dotąd w Polsce nie znano.

Później Słowacki w Lilii Wenedzie robi Gwidonę kobietą skandynawską, a w Irydyonie Krasińskiego spotykamy fantastyczny obraz starożytnej Danii pod mitologicznym królem Odynem. Wpływ polski na literaturę skandynawską był daleko głębszy. Wypadki między 1830 a 1840 r. budzą najżywszą sympatyę. Powstaje cały szereg pięknych, lirycznych poezyi, osnutych na motywach polskich, a w 1840 r. najznakomitszy poeta swego czasu Carsten Hansch, wydaje powieść pod tytułem: „Rodzina polska" budzącą ogromne zajęcie. Chociaż nie był w Polsce, ale entuzyastyczna jego natura tak się przejęła losami kraju, że w powieści jego odnajduje się dużo prawdziwych rysów charakteru polskiego. Do dziś dnia wiersz zamieszczony w tej powieści: „Dlaczego fale Wisły tak wezbrały", do którego piękną muzykę dorobił Niels Gades, jest jednym z najpopularniejszych śpiewów skandynawskich. Odczyty, jakie miał Brandes w Kopenhadze o literaturze polskiej wzbudziły najżywsze zajęcie, jego samego przedmiot ten nadzwyczaj pociąga. Literatura polska robi na nim wrażenie obrazu Gabryela Maksa: „Chustka św. Weroniki", który zresztą pod względem artystycznym bardzo nizko ceni. Zależnie od punktu z którego patrzymy, oczy Chrystusa przedstawiają się tam zamknięte lub otwarte, tak samo i z literaturą polską. W pierwszej chwili wydaje się nieprzenikniętą, odosobnioną, przy bliższem jednak poznaniu okazuje się pełną życia, jak oczy Chrystusa i jak one smutno i poważnie patrzy na widza.

Literatura polska naszego wieku przechodziła te same koleje i tym samym prądom ulegała, co inne literatury europejskie. Na początku wieku przestarzały klasycyzm, wkrótce porzucony, potem romantyzm, najdłuższą przestrzeń czasu zajmują i najżywsze budzący zajęcie, wreszcie za dni naszych rodzący się realizm. Obok cech wspólnych wszystkim narodom europejskim, każdy naród posiada sobie właściwe, odpowiednie do swej przeszłości i warunków w jakich żyje, dlatego też w Polsce, w skutek nagle utraconego bytu politycznego, literatura a zwłaszcza poezya, zastąpiła wszelkie objawy życia narodowego i przez to stała się bardziej żywotną, ale też i bardziej jednostronną. Pod trzema głównymi wpływami rozwinęła się romantyczna literatura polska, a są niemi: charakter narodowy, romantyzm europejski i wyjątkowe położenie kraju. Charakter Polaków bohaterski, szlachetny, marzycielski, lubujący się w okazałości i przepychu, skory do czynów rycerskich, zdolny do uniesień religijnych, skłaniał się sam przez się ku romantyzmowi. Polacy przypominają Francuzów, ale brak im zimnego rozumowania tychże i dlatego siła języka polskiego jest w poezyi, u francuzkiego w prasie. Przypominają także Polacy Włochów żywością uczuć i czcią obrazów, ale nie mają ich machiawelizmu w życiu publicznem, a zmysłu plastycznego w poezyi i sztuce. Romantyzm w Polsce przybrał zupełnie odmienny charakter niż w Niemczech, Anglii, Francyi i Włoszech. W Niemczech stał się niepewnym idealizmem, brakiem uczuć obywatelskich, wstrętem do rzeczywistości.

W Anglii musiał walczyć z wrodzoną skłonnością narodu do utylitaryzmu; we Francyi i Włoszech pod wpływem żywiołu łacińskiego czyli klasycznego, był tylko krótkotrwałem artystycznem uniesieniem. W Polsce zaś, gdy charakter narodu i nieszczęścia kraju skłaniały wszystkich ku romantyzmowi, łączył on dusze wszystkich w entuzyastyczne uczucie solidarności narodowej. Sam fakt iż ojczyzna przestała być rzeczywistością lecz jest czemciś, w co trzeba wierzyć, bo oczyma ciała widzieć nie można, wpływał silnie na usposobienie romantyczne narodu. Wszystkie jego marzenia i uczucia obracają się dotąd w około jednego punktu, a jest nim los kraju i współziomków.

Mimo jednak gorącej dla nich miłości, poeci polscy umieli przedstawić ujemne strony ich narodowego charakteru i to stanowi wyższość literatury polskiej nad innemi, mającemi wspólne z nią rysy.

Naprzykład literatura flamandzka, powstająca w Belgii około 1830 r., głównem jej dziełem jest powieść Henryka Conscience: „Lew flamandzki", przypomina Pamiętniki Soplicy „Rzewuskiego". Siłę tej literatury stanowi liryka, ale wydał ją naród spokojny, mieszczański, jest więc ona przykuta do ziemi, nie skrzydlata i płomienista jak polska, która wzlata pod niebiosa, promieniami swemi widnokrąg oświetla i znika w obłokach.

W literaturze znów Finlandyi znajduje się poemat wielkiego jej poety Runeberga, który trochę Mickiewicza przypomina, a cykl jego poezyi pod tytułem: „Opowiadania junkra Stala", przedstawiających walkę o Finlandyę w 1810 r., jest może w całej literaturze europejskiej, utworem najbardziej *Pana Tadeusza* przypominającym. Brak jednak Runebergowi pierwiastku współczesnego, któryby utworom jego nadawał znaczenie ogólniejsze, co właśnie znajdujemy u poetów polskich

tej epoki, brak również tej wzniosłej krytyki, którą się tamci odznaczają.

Do tych odmiennych cech romantyzmu, dodać trzeba gorące uczucie religijne, oraz skłonność do wiary w duchy i zabobony, do czego zdaje się nawet skłaniać Mickiewicz w swoim wierszu programowym: „Romantyczność”, a będziem mieli wyraźną różnicę istniejącą między romantyzmem w Polsce a w innych krajach europejskich.

Można odnaleźć pewne podobieństwo Mickiewicza do Ochlenschlügera poety duńskiego i Tegnera szwedzkiego, tylko, że ci wielcy Skandynawowie poświęcili się tylko przeszłości swego narodu i dziejom bajecznym, a Mickiewicz dał obraz tego co widział i co sam czuł, zwłaszcza w utworach w których się wzniósł najwyżej, w Panu Tadeuszu i w niektórych częściach Dziadów, a to stanowi ogromną jego wyższość nad innymi narodowymi poetami. Poeta może bowiem opisywać i wybić piętno rzeczywistości na tem tylko, co sam widział. W poezyi polskiej spotyka się wiele takich rysów realistycznych; widzieli nawet czasem więcej inaczej niż zwykły człowiek, gdyż byli zarazem obserwatorami i jasnowidzącymi.

Pociąg do mistycyzmu i wzgląd na cenzurę zmuszały ich do używania formy alegorycznej i abstrakcyi dla wyrażenia swych myśli, takiemi się nam przedstawiają Konrad Walenrod i Grażyna.

Ogromny wpływ wywarli na Polskę i na jej poetów Napoleon i Byron, powiedzieć można, że większy tam zapał budzili, aniżeli we własnej ojczyznie. Nawet gdy Napoleon zdradził ją najhaniebniej, poświęcił dzielne legiony, sfałszował odezwę Kościuszki, wzywającą naród do powstania, gdy tymczasem Kościuszko niedowierzając cesarzowi Francuzów był temu najzupełniej przeciwny, wtenczas nawet i potem jeszcze, naród polski ubóstwiał Napoleona. Krasiński, we wstępie do Przedświtu, wyprowadza od niego nową erę, a Mickiewicz w mistycznej swej epoce uwielbia w nim wielkiego człowieka; powiada iż poezya jest-to czyn, a zatem życie Napoleona, jest najzaszczytniejszą poezyą. Przeznaczenie jego było zbawiać ludy, a zatem i świat cały.

Ten sam zapał, jako dla wszystkiego co błyszczy i olśniewa, okazują Polacy dla Byrona. Mickiewicz i Słowacki różniąc się we wszystkiem, zgadzają się tylko z sobą w bajronizmie w którym trwają długie lata.

Waszyngton nie robi w Polsce żadnego wrażenia, a Napoleon wszystkich porywa; także i Schelley przeszedł niepostrzeżenie, podczas, gdy Byrona cały naród uważał za największego poetę lirycznego, a jednak poezya Schelleya przy poezyi Byrona, jest jak urocza symfonia w porównaniu do odgłosu trąb i bębnów.

Niezaprzeczoną jednak zasługą Napoleona i Byrona względem Polaków jest to, że wyrwali ich z odosobnienia w jakiem po zaszłych wypadkach znaleźli się. Walcząc z Napoleonem po całym świecie imię swe rozniesli, a przejmując się uczuciami Byrona, rozpacz i miłość swobody wprowadzili do swej ojczyzny.

Z pomiędzy innych poetów Dante i Szekspir największy wpływ w Polsce wywierali, zwłaszcza Słowacki naśladuje styl i rodzaj Szekspira. Najwięcej zaś pokrewieństwa duchowego dopatrzyć można między Dantem a poetami polskimi.

Jak on wygnańcy i nieszczęśliwi, patrzyli na upadek polityczny swego narodu i jak on szukali ulgi na swe cierpienia w proroctwach i wyroczniach!

Najwyraźniejszy wpływ Dantego odnajduje się w Krasińskim, a potem w Słowackim, ze wszystkich utworów „Piekło” najgłębsze ślady zostawiło, tylko postać Beatryksy, zwiastującej odrodzenie i szczęście, rzadko się ukazuje w utworach poetów polskich.

Losy kraju tak silnie odbijające się na literaturze, oddziałały także na charakter pisarzy. Wszyscy oni mają wiele cech wspólnych: szlacheckie pochodzenie, wychowanie w religii katolickiej, gorący patryotyzm, prócz tego wszyscy opuszczają kraj między 20 a 30 rokiem życia i nigdy już do niego nie powracają. Za granicą działają jako przewodnicy narodu, nie wiedząc jednak czy ten naród mają za sobą i oczekują ciągle przewrotu polityki europejskiej.

(Dokończenie nastąpi.)

JÓZEF BOHDAN ZALESKI.

(Ur. 1802 roku 14 Lutego, † 31 Marca roku bieżącego.)

WSPOMNIENIE POŚMIERTNE.

Coraz nowa otwiera się mogiła, jeden po drugim zstępują do grobu olbrzymi ducha co przed kilkudziesięciu laty wznieśli wspaniałą świątynię poezyi rodzimej, a pracami i pieśniami swemi niespożyte dla kraju położyli zasługi, wskazywali drogi, rzucali światło w umysły, ciepłem serc własnych rozgrzewali serca, cierpieli i kochali za miliony dając zarazem życiem całem wzniosły przykład wytrwałości, poświęcenia, wiary, miłości i nadziei.

Dnia 31 Marca o godzinie 6 i pół rano, rozstał się z tym światem w Villepreux, pod Paryżem Józef Bohdan Zaleski, towarzysz i przyjaciel Mickiewicza, ostatni ze świetnej ówczesnej plejady wielkich poetów naszych, którzy zawładnąwszy sercami rodaków, zmusili zarazem obce narody do poznania i uczczenia ducha naszego.

J. B. Zaleski przyszedł na świat na Ukrainie, we wsi Bohaterce, nad Rosią i Rosawą, dnia 14 Lutego 1802 r. a więc według starego stylu w dzień Matki Bozkiej Gromnicznej. Matkę stracił zaraz po urodzeniu i dlatego w wierszu napisanym na pamiątkę dnia swych urodzin pisze:

Święć się nam w sercach, domowa pamiątko!
Ów syn, o matko! ledwie przeżegnany,
Twe pogrobowe, gromnicze dzieciątko,
Piastuje lutnię między chrześciany.

Pierwsze lata młodociane przeżył w chacie ukraińskiego wieśniaka, pasiecznika, któremu powierzono wątłego z urodzenia chłopca, aby wzmocnił się i nabrał sił pod pięknem niebem wybrzeży Dniepru. Tam to zżył się ze swoją Ukrainą; tam to jak mówi: „Matka Ukraina, skrzydlatego swego syna, upowiła w pieśń u łona, mlekiem dum i mleczem kwiecia”, to też ukochał ją tak serdecznie, iż w niebie nawet mieć ją pragnął.

W r. 1815, a więc w 13 roku życia, oddany został do szkół bazyliańskich w Humaniu; tam już zaczął pisać wiersze; lecz zgodnie z tradycyą szkoły, pierwszy ogłoszony drukiem utwór jego w *Dzienniku Wileńskim* (1819 r.) był wierszem klasycznym, p. n. *Do Pirry*. O romantyzmie nie słyszano jeszcze wówczas w Humaniu. Doszły tam jednak poemata Brodzińskiego i taki wywarły urok na Bohdana Zaleskiego, iż postanowił przenieść się do Warszawy i tu w uniwersytecie kończyć nauki, głównie dlatego, aby się zbliżyć do autora *Wiesława*. Tu oddziaływały na niego dwa wpływy, dwa kierunki literackie i społeczne, klasycyzm i romantyzm. Od klasyków przejął formę, poprawność i czystość języka, od romantyków ducha narodowego i zamiłowanie w kolorycie ludowym.

W r. 1830 napisał w Warszawie prześliczne *Rusałki* do „Meliteli” Odyńca, lecz w późniejszych dopiero utworach duch poety zolbrzymiał, uczucie spotęgowało, język dosięgnął najwyższego możliwego udoskonalenia. W poezyach Zaleskiego obrazy, uczucia, myśli uwydatniają się z całą plastycznością, lub też według woli jego rozpływają się w błękitnym pomroku jak jego stepy, nigdzie nie znajdzie tam fałszywego rymu, nigdzie łamania się z rytmem; wszędzie śpiewność, harmonia, nie dopełni ich muzyka ani deklamacya, czytać tylko utwory jego, a same w duszy śpiewają. Jest-to język rdzennie swojski, a jednak zdaje się jakby wyzwolony z pęt ziemi, język z wyższych jakiś światów. Zaleski oddał przyszłym pokoleniom język nasz jako lutnię doskonale już ograną.

Po ukończeniu uniwersytetu J. B. Zaleski był nauczycielem domowym w kilku możnych domach, przebywając już to w mieście już na prowincyi, a w roku 1830 zamieszkał we Francyi, często jednak zmieniał miejsca pobytu, przebywając to w Paryżu, to w Fontainebleau, w Plombieres, w Sevres, to w Alzacyi, lub w Lausannie w Szwajcaryi i w wielu jeszcze miejscowościach, nim nareszcie stale osiadł w Villepreux o dwie mil od Paryża, w wiejskiej ustroni, w posiadłości zięcia swego, doktora Okińczyka, który go najtroskliwszą otaczał opieką, a który także rozstał się z tym światem dnia 18 Marca r. b. Powód tych częstych zmian miejsca pobytu, objawił poeta w ślicznej dumce: „Śpiewak tęskniący”.

Nigdyż serce stęsknione,
Mar minionych nie prześni!
Wiecznie w jedną gdzieś stronę
Zaczaruje me pieśni.

Jak świat długi, szeroki,
Z lutnią moją podróżną,
Zmieniam miejsca, widoki,
Ale zmieniam napróżno.

Przez miejsc tyle, chwil tyle,
Każdy dla mnie zakątek,
Wszystkie, wszystkie tu chwile,
Są bez wrażeń, pamiątek.

I to serce, o dziwo!
Tak czujące dziś mało,
Indziej biło tak żywo,
Tak płomiennie kochało.

Ah! przed mokrą powieką,
Darmo dzień mi tu płonie,
Wzrok jak pieśni — daleko,
Wiecznie w jednej tkwi stronie...

Do roku 1842, Bohdan Zaleski niekiedy tylko ogłaszał utwory swoje w czasopismach, w tymże dopiero roku wyszło zbiorowe wydanie poezyi jego w Poznaniu 2 tomy. Drugie wydanie pomnażane coraz piękniejszemi poematami, jak *Duch od stepu, Przenajświętsza rodzina, Kalinowy most,* przekłady, dumki, szumki i pyłki, etc. wydał M. B.

Wolff w Petersburgu, w 1851 roku, a trzecie, najkompletniejsze jest lwowskie, w 4 ch tomach, wyszłe w 1877 r.

Nie miejsce i nie pora w krótkiem pośmiertnem wspomnieniu roztaczać cały bogaty obraz jego zasług lub wydawać sąd krytyczny o jego utworach, osądził je cały naród i te matki, które po nauce pacierza, dumek i pieśni jego uczyły swe dziatki, i tym sposobem przechodziły z pokolenia w pokolenie, ucząc kochać Boga, współbraci i ziemię rodzinną. Przytoczymy więc tylko słowa Mickiewicza wypowiedziane o poezyach słowika ukraińskiego w Kollegium Francuzkiem w 1842 r.

„J. B. Zaleski jest niezaprzeczenie największym ze wszystkich poetów słowiańskich. Rzucił on pęk kwiatów na zakończenie poetyckiego igrzyska Słowian i będzie zawsze wprawiał w rozpacz tych, coby jeszcze chcieli miłować sztukę dla sztuki samej, wyczerpał bowiem wszystkie sposoby, wszystkie rytmy, wszystko co jest najświetniejszego w kolorycie, najdelikatniejszego w odcieniach."

Któż z nas nie podziwiał owej cudnej krynicy jego natchnień, co odbijając w czystem wód swoich zwierciadle obrazy ludzi i otaczającej przyrody, tak uroczem je oblewa światłem, tak wykończa i uszlachetnia ich kształty, iż ziemskie owe istoty, przenosi żywcem w jakieś czarodziejskie krainy. Wszystko to widzieliśmy tylokrotnie i widujemy codzień na ziemi: a przecież nie zachwycało nas wcale, czemuż więc owe postacie tak zwyczajne i obojętne nam w świecie rzeczywistości, w utworach Bohdana tak zajmują, iż w sercach naszych odbija się każde uderzenie ich serca, każda boleść lub niedola? Bo ludzi owych i całą otaczającą ich przyrodę poeta podniósł do ideału, a poeta w natchnienia chwili to ów Anioł Pański co zstępuje w mętne fale Bethsaidy i poruszywszy wodę swemi śnieżnemi skrzydłami, uzdrawia cierpiących, wyzwalając ich z chorób i dolegliwości.

Rzeczywistość ziemska to właśnie owe cierpienia i choroby z których postacie swoje wyzwala poeta, przenosząc je z mętnej Bethsaidy w świetlany kraj ideału. Więc choć zachowały owe ziemskie swoje formy, ziemskie porywy, uczucia i bóle, już jednak należą do lepszego, wyższego świata, już ukazują nam się przystrojone w tęczową szatę doskonałej piękności, której twórczy duch ludzki jest życiodajną krynicą.

(*Dokończenie nastąpi.*)

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 Kwietnia 1886 roku.

Z pierwszem słońcem, jakie zawitało do Paryża, mody wiosenne ukazały się w oknach wielkich magazynów tutejszych. Równie jak w roku zeszłym etaminy czyli kanwy wełniane, stanowią modę panującą, całą w nich nowość tworzą pasy rozmaitej grubości. Na tle zazwyczaj szarem, oliwkowem, popielatem lub hawanna, widzimy pasy bądź w rodzaju tureckim, bądź tego samego koloru jak tkanina, przerabiane w deseń wełną albo jedwabiem. Wierzchnia spódniczka mocno nafałdowana, zazwyczaj podniesiona i otwarta z lewego boku, bywa najczęściej w pasy, zarówno jak stanik i rękawy, pod to idzie spódniczka z gładkiego materyału, cała plisowana, lub też u dołu i na rozcięciu wygarnirowana wolantami. Niekiedy znów przeciwnie, pierwsza spódniczka bywa w pasy, podłużne lub poprzeczne, wierzchnia zaś z gładkiej etaminy. W takim razie i stanik powinien być gładki, otwarty, na kamizelce w pasy.

Mnóstwo też ukazało się w magazynach sukien czarnych z klarownej kanwy, przerabianej w pasy wełniane lub jedwabne. Powodem tego żałoba po hr. Chambord, noszona przez wielką część arystokracyi francuzkiej. Jak zwykle bywa w takich razach, osoby nie noszące nawet żałoby, przyjmują kolor czarny, idąc za ogólnym popędem. Do ubrania tych sukien, używany powszechnie szeroki słup, naszyty w deseń dżetem, spadający od stanu do ziemi, z lewego boku i naśladujący fałszywą spódniczkę. Takiż sam plastron widać z pod otwartych przodów stanika.

Kapelusze czarne, tak koronkowe jak słomkowe, przybrane dżetem, panują także nad innemi. Widzieliśmy w tych dniach właśnie, piękny dobór kapotek i okrągłych kapelusików, zakupionych na model przez panie Kuhnke, dajemy tu ich opis.

Kapotki tegoroczne mają rondka małe, przystające do twarzy, główkę wązką lecz bardzo wysoką. Główka ta ścięta w tyle, zastosowana zupełnie do włosów wysoko zczesanych. Ubranie stanowią przeważnie wielkie kokardy ze wstążki upiętej na druciku, pomieszczone z przodu główki, tworzące wysoką egretkę. Do strojniejszych kapotek dodają jeszcze pióra lub kwiaty. Wstążka gładka *faille*, ma zwykle ząbki wypuszczone po brzegach.

Pierwsza z tych kapotek, cała nagarnirowana koronką, tworzy dosyć wysoką piramidę. Nad czołem pomiędzy koronką, przechodzi pasmanterya z dżetów, egretka z piór strósich czarnych, składa całe ubranie. Szarfy do wiązania koronkowe.

Druga kapotka także z koronki czarnej, ma nad czołem spadające grelotki dżetowe. Po nad tem idzie wielka kokarda, złożona z kilku stojących pukli, upiętych na druciku, ze wstążki czarnej w ząbki. Takież szarfy służą do wiązania. W tyle miejsce karoczka, zastępuje pasmanterya dżetowa.

Trzecia kapotka bardzo oryginalna, koloru *Hawana*, ma główkę klarowną, w rodzaju leciuchnego koszyczka, rondko ułożone z koronki włosianej, tegoż samego koloru, przerabianej w wypukłe szyszki. Garnirunek ten rzęsisty i wysoki nad czołem zwęża się i przystaje płasko po bokach. W pośrodku wpięta mała kokardka koloru *caroubier*. Nad tem idzie wysoka egretka ze wstążki hawana i takichże piór strósich. Szarfy z takiejże wstążki do związania pod brodą.

Czwarta kapotka słomkowa, koloru przypalonej słomy. Rondko ułożone ze skręconego aksamitu w kolorze czekoladowem. Do główki upięta wielka kokarda ze wstążki tegoż koloru i dwie gałązki akacyi, w kolorze blado koralowem. Szarfy czekoladowe.

Piąta kapotka, ma denko u główki powleczone krepą angielską koloru *mais*; takaż krepa, fantastycznie przekręcana, tworzy dyadem nad czołem, boki pokryte całe liśćmi bluszczowemi, w pośrodku upięta egretka z bzu lilla. Szarfy do wiązania koloru liści bluszczowych.

Okrągłe kapelusiki, mają w ogólności główki wysokie, stożkowate; rondko u jednych dosyć szerokie, proste, zwężone cokolwiek w tyle, u innych węższe, podniesione w górę z obu stron, u innych znów całkiem odwinięte jak u toczków.

Kolor słomki powszechnie przyjęty szary, *beige*, *hawanna*, *maron*, wiele też widać czarnych. Oprócz słomkowych noszą także okrągłe kapelusiki z czarnego tiulu, ozdobione wielkiemi paciorkami dżetowemi. Oto są modele nabyte na magazyn pań Kuhnke:

Pierwszy kapelusik z cienkiej słomki brukselskiej, koloru *beige*, główka stożkowata, rondko proste, dosyć szerokie, z tyłu nieco zwężone, podbite aksamitem koloru mchowego (*mousse*). Na główce, upięte na drucikach trzy wielkie kokardy w trzech kolorach: mchowym, beige i blado koralowym, wstążka ma z obu stron drobne ząbki.

Drugi ciemniejszy Hawanna, ze słomki grubszej, plecionej *à jour*, podbity aksamitem tegoż koloru. Gruby skręt z krepy angielskiej, przeciągniętej przez główkę, tworzy na przodzie wielki węzeł, wyżej wybiega skrzydełko w dwóch odcieniach: hawanna i bronzowym. Główka przepięta dwoma wielkiemi szpilkami szyldkretowemi.

Trzeci kapelusik czarny słomkowy; rondko odwinięte w rodzaju toczka, podbite aksamitem czarnym, na tym aksamicie zasiane paciorki dżetowe. Denko u główki, również aksamitne, naszyte dżetem. W koło główki opasana szeroka wstążka czarna, zakończona z przodu kokardą. Od tyłu idzie pęk piór czarnych strósich, rzucony na denko, przytwierdzony niewielką kokardą.

Czwarty kapelusik koloru szarego *beige*, rondko szerokie odwinięte z jednej strony, podbite aksamitem oliwkowym. Dwie wstążki w dwóch odcieniach oliwkowych, lekko przekręcone, otaczają główkę do koła. Z boku, w miejscu gdzie podniesione rondo, wpięta egretka z piór strósich oliwkowych, poniżej kokarda ze wstążki w dwóch odcieniach.

Najstrojniejszy ze wszystkich kapelusik czarny, ma główkę wysoką, powleczoną marszczonym tiulem, rondko małe, płaskie, zwężone po bokach. Na tem rondku idą dwa rzędy wielkich pereł dżetowych, bardzo lekkich. Perły te ogromne po nad czołem, zmniejszają się stopniowo po bokach. Całe rondko wraz z perłami pokryte czarnym tiulem. Z boku wpięta wielka kokarda ze wstążki, koloru *mais*, przytwierdzona broszą czarną, szeroką jak ławka od grzebienia.

W ogólności dżety więcej niż kiedykolwiek używane. Zwrócił też uwagę naszą ładny czepeczek dla starszej osoby, z koronki czarnej, nagarnirowany w kontrafałdy, każdy kontrafałd przytwierdza ogromna perła dżetowa, rozcięta na pół, przylegająca płasko. Szarfy koronkowe służą do związania pod brodą.

Dla młodszych osób, do ubrania głowy, uważaliśmy bardzo zgrabne egretki, ze wstążki, blado koralowej, blado niebieskiej i t. d. Egretka ta składa się z pięciu pukli, podniesionych w górę na drucikach i z pięciu mniejszych, ułożonych u spodu.

Woalki powszechnie przyjęte, w tym samym kolorze jak kapelusz: oprócz tego białe używane będą na lato.

Uważaliśmy także modele bardzo ładnych plastronów, z tiulu czarnego, zahaftowanego dżetem.

Plastrony te kładą się na wierzch stanika i całkiem przód jego pokrywają. Wkoło otoczone są dżetowemi grelotkami, u szyi ujęte w pasek naszyty dżetem, spięty w tyle i zastępujący miejsce kołnierzyków. Ładna to i pożyteczna moda.

W przyszłym sprawozdaniu powiemy o modelach sukien, nabytych na magazyn pań Kuhnke, dziś dodamy słówko o wiosennych okrywkach.

W ogólności są bardzo krótkie, rozniesiste w tyle. Uważaliśmy jedną z lekkiej wełnianej tkaniny w deseń, bez żadnego garnirunku, z pod otwartego przodu wybiegała kamizelka, a raczej buffa jedwabna, dopełniały ubrania, rzęsiste pukle z wstążki czarnej.

Dodajmy tu jeszcze, że kolor lilla wywołany od lat wielu, powraca nareszcie do mody. Noszą go w rozmaitych odcieniach, zacząwszy od bladego do ciemno fijołkowego. Szczerze przyklaskujemy tej modzie, tak odpowiedniej na wiosnę i lato.

S. D.

ROZMAITOŚCI.

Sześć miesięcy w pośród Indyan. Pułkownik James Stevenson, urzędnik etnologicznego biura w Waszyngtonie wrócił niedawno z sześciomiesięcznego pobytu wśród Indyan w Arizonie, przywiózł do Waszyngtonu mnóstwo ciekawych przedmiotów i ogłosił niektóre szczegóły swej podróży w dziennikach amerykańskich. Owóż dowiadujemy się ztąd, że podróżując wraz z żoną i kilkoma czerwonoskórymi z szczepu Navajoes, pośród osad Pueblów i Maquisów (plemię dotychczas prawie nieznane), był wszędzie bardzo uprzejmie przyjmowany. Tylko w jednej największej wsi Pueblów, liczącej 850 mieszkańców, omal że źle się z nim nie skończyło. Kiedy podróżnicy chcieli dostać się po drabinie na dach mieszkania kacyka, zbiegł się tłum wzburzonych mieszkańców. Jeden olbrzymiej postaci Pueblo wzywał innych, ażeby zamordowali obcych; wielu z tłumu poczęło się nawet gotować do dzieła. Ale podróżników ocaliły przytomność umysłu kobiety. Pani Stevenson oceniwszy grozę sytuacyi i budując nadzieje na znanem tchórzostwie Indyan, przystąpiła do prowodyra, a przytknąwszy mu dłoń w kułak zaciśniętą pod nos, krzyczała nań w sposób niesłychanie gwałtowny po angielsku i hiszpańsku. Indyanin, jakkolwiek nic z tej przemowy nie rozumiał, zląkł się gwałtownego jej tonu i zwinął chorągiewkę. Tłum poszedł za jego przykładem, podróżni zdołali bezpiecznie powrócić do swoich wozów, a jakkolwiek czeredy wrzeszczących mężczyzn, kobiet i dzieci postępowały za towarzystwem, nikt przecież z nich nie śmiał rzucić się na uchodzących, mając widocznie respekt przed białą kobietą.

Z PRASY HUMORYSTYCZNEJ.

Widnokrąg polityczny, powiada Kuryer Świąteczny, zaczyna się znowu zaciemniać. Serb Jokiszanin, sprzedający pantofle przed ratuszem od kilku dni przysunął się bliżej do austryackiego składu obuwia na placu teatralnym, grek zaś Maurokordati, całkiem się przeniósł ze swemi gąbkami na skwer vis-a-vis składu kawioru. Podejrzewają niektórzy, iż przyczyną do ruszenia się z miejsc przez nich zajmowanych było błoto, ale nietrzeba temu zbytnio wierzyć.

Pokalożercze narady w Berlinie już dochodzą do śmieszności.

Raz po zamknięciu rozpraw, deputowany Tiedeman rzekł:

— Pan Kantak gdy mówił o pokalożercach, że jak byki rzucają się na czerwony gałgan, spojrzał wyraźnie na mnie.

— Spojrzenie — odezwał się Prezydent—nie upoważnia pana do osobistej uwagi.

— Mówiąc to — odezwał się Kantak — wyraźnie oświadczyłem, że na myśli nie mam nikogo z obecnych. Wreszcie ponawiam zapewnienie, że pana Tiedemana nie uważam wcale za byka.

— Ani ja pana Kantaka za czerwonego gałgana — odrzekł Tiedeman, wywołując powszechną w izbie wesołość.

Kiedy zatwierdzono fundusz na wywłaszczanie Polaków w Poznańskiem, następca tronu niemieckiego dowiedziawszy się, że księcia Radziwiłła okradziono, rzekł:

— Oto pierwsze wywłaszczenie Polaków z ich własności.

Jeden z deputowanych, przeciwny bezprawiu przeciw Polakom, przyszedłszy na posiedzenie rzekł do zgromadzonych koło niego kolegów:

— No, panowie, przychodzę do was z wybornemi wieściami. Skutki pieczołowitego patryotyzmu pana Bismarka zaczynają się już objawiać, bo doszła wiadomość, że stu właścicieli niemieckich oświadczyło się z gotowością sprzedania swych majątków w Poznańskiem na cele kolonizacyjne, z Polaków zaś ani jeden. Nadto uznanie szlachetności Niemców, coraz się bardziej rozszerza, bo w tych dniach wstrzymano transport śledzi do Królestwa, z tego jedynie powodu, iż rozgłoszono wieść w Gostyńskiem, że wszystkie śledzie od niemieckich sprowadzane handlarzy... są zatrute. Ludność uwierzyła, kupno naraz jeden ustało, czem przestraszeni handlarze zwrócili się z żądaniami do Hamburga i Anglii. A cóż panowie, czyż patryotyzm pruski nie tryumfuje?

Żarty w tym kierunku sypią się jak z rękawa. Kuryer Świąteczny donosząc, że podobno jakiś Niemiec zakłada w naszem mieście fabrykę kluczyków i kluczy do nakręcania zegarków i zegarów, robi uwagę: cóż u licha! czyż już nas Niemcy, ciągle nakręcać będą?

W dalszym ciągu, donosząc, że jakiś korespondent zagraniczny rozchorowawszy się szpetnie po stokfiszu w handelku warszawskim, przypisał to wyłącznie naszej intrydze. Ależ panie korespondencie, powiada reflektując go, sama nazwa *stokfisz*, jasno wykazuje, że w rybie tej nie ma ani jednej litery naszej intrygi.

Obelga czy komplement? Aktorka londyńska p. Abrams zaskarżyła przez niedawnym czasem krytyka Hudson, z powodu, iż w sprawozdaniu o nowej jakiejś sztuce napisał:

„Pani Abrams przypomina wykopaliska profesora Schliemana, jest prawdziwym antykiem."

Sędzia napróżno usiłował uspokoić wzburzoną artystkę, twierdząc: „Że najlepszym dowodem jak cenne są wykopywane przedmioty jest wysoko płacona za nie cena." „Tak, odparła gniewnie artystka, ale szersza publiczność nie składa się z badaczy starożytności, a od czasu owej krytyki dostaje codziennie bezimienne listy, w których zapytują mnie: „Czy posiadam łacińskie napisy", albo wyrażają zdziwienie: „że całość jest tak dobrze zachowana i t. d." Nakoniec powaśnione strony pogodziły się i nazajutrz Hudson napisał w swoim dzienniku: „Jak się dowiadujemy, znakomita nasza artystka, pani Abrams, obchodzić będzie wkrótce ośmnastoletnią rocznicę swoich urodzin. Wszystkie dzieci i wnuki przyjmą udział w uroczystości.

Na zakończenie jeszcze jedna humorystyczna wiadomostka już wyłącznie naszego grodu dotycząca.

Pewien właściciel restauracyi na Krakowskiem Przedmieściu, dla przywabienia gości sprowadził kapelę, której członkowie są ubrani w włościańskie sukmany, kowane pasy i mazurskie czapki.

„Kmiotkowie" w rozmowie posługują się... żargonem używanym przez izraelitów.

Jak się okazało, pomysłowy restaurator zawezwał żydków ze Lwowa i Warszawy, którzy ukostyumowani odpowiednio, reprezentują wieśniaków...

W danym razie niepodobna jadłodawcy odmówić pomysłowości.

Śmieszną jest ona cokolwiek, ale dowcipną, dająca wielki dowód sprytu wiedzących w co mierzyć i gdzie uderzyć. Zawsze to lepsze jak maskarada z wzorów Indów lub Magołów ułożona.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Natalii. Komedya była zbyt skandaliczną, drukowanie jej więc było niepodobne. Wina cięży na tłomaczu złego wyboru. Korespondencye o ubiorach z Paryża, nadsyła stale od lat kilkunastu pani Seweryna Duchińska, a materyały do nich potrzebne zbiera z różnych magazynów do których wstęp jako korespondentce Tygodnika Mód bardzo chętnie jest dozwolony. Adres: Madame Duchińska a Paris, Boulevard St. Michel N. 54.

Słysząc bardzo dużo pochwał, oddawanych, przez rodziców, dzieci i sąsiadów, p. Florentynie Cywińskiej, z domu Kostrowickiej, za umiejętność kierowania dziećmi, rozwijania ich umysłowo i moralnie, w przejeździe przez Warszawę, czytając anonse w Kuryerze, który opiewa tam stancyę dla panien kształcących się, jeżeli tylko pani F. Cywińska, zamieszkała w Warszawie na Hożej 26—7, jest z domu Kostrowicka, w takim razie głos sumienia starej kobiety nakazuje polecić ją szanownej publiczności.

K. Czerwińska.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 27 Марта 1886 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego. Warszawa, Chmielna Nr 1530 (nowy 26).

Opis do N-ru 15.

(*Dokończenie.*)



N. 5. Kapelusz do jazdy konno.



N 1. Stanik jersey z plastronem.



N. 2. Stanik do ryc. 54.



N. 3. Krótkie okrycie (sortie de bal).

N. 27. Ubranie dla panienki lat 12—14. Patrz fig. 76.

Odrobione z ciemno granatowego wełnianego materyału, ma spódnicę zakończoną u dołu szlakiem w paski 10 cent. szerokim, ułożoną w kontrafałdy 8 cent. szerokie. Draperya 230 c. długa, 50 szeroka, układa się na sukni, zaczynając od prawego boku tak, aby jedna kontrafałda została odkryta; brzeg boczny draperyi zebrany w ścisłe fałdy, dochodzi do paska sukni i łączy z górnym brzegiem. Dalszy układ draperyi wskazuje ryc. 27 i fig. 76 na arkuszu. Pasek, kołnierz stojący i mankiety są z materyału w paski. Stanik ma przody marszczone, wzdłuż z boków zapięcia naszyte materyałem w paski.

N. 28. Majtki zakończone haftem.

Praktyczne, skromnie odszyte z kroazy, zakończone są u dołu pięcioma wązkiemi zakładkami i szlaczkiem z haftu angielskiego.

N. 29. Majtki flanelowe.

Formę odpowiednią do tych majtek znajdą czytelniczki w numerach z drugiego kwartału r. p. Na szwie bocznym zostawia się u dołu rozporek 9 cent. długi; brzeg dolny wszyty w pasek prosty 8 cent. szeroki, 44 c. długi, z boku zapięty na guzik, zwierzchu zdobny wyszyciem jedwabiem. Między pasek i jego podszewkę wpuszcza się brzeg falbany flanelowej 7 cent. szerokiej, 56 długiej, u dołu odzierganej w ząbki białym jedwabiem, zwierzchu pokrytej koronką nicianą.

N. 30. Majtki z zakładkami z boku. Krój na arkuszu N. VI, fig. 23—24 (forma przecięta).



N. 4. Spódnica do r. 55, przedstawiona z boku.

Dla braku miejsca szeroką formę majtek z zakładkami, dajemy w dwóch częściach łączących się w jedną od gwiazdki do dwukropka. Każda połowa majtek zeszywa się od *r* do *s*, obie zaś łączą się z sobą z przodu od *t* do *u*, z tyłu od *v* do *w*. Z boków od gwiazdki do krzyżyka zostawia się rozporek, zapinany na guziczek. Skoro zakładki założone są u góry i u dołu podług linii danych na fig. 23a, wszywa się brzeg górny przedniej części majtek od *t* do *x* w pasek bawetowy podwójny, ukrajany podług fig. 24, który z tyłu od *x* do *v* dopełniony jest prostym paskiem, 5 cent. szerokim, przestębnowanym pośrodku dla nawleczenia tasiemek do wiązania. Dolne zakończenie stanowi prosty pasek haftowany, 4 cent. szeroki i falbanka marszczona, 6 cent. szeroka.

N. 31. Majtki zakończone zakładkami i falbanką.

Obie połowy majtek marszczą się u dołu i wszywają w prosty paseczek, 40 c. obwodu mający, zwierzchu przykryty paskiem batystowym; $3\frac{1}{2}$ cent. szerokim, zastębnowanym w drobniutkie zakładki wokoło brzegów otoczonym hafcikiem, a w jednym końcu ściętym szpiczasto i zapiętym na guziczki. U dołu falbanka batystowa, $2\frac{1}{2}$ cent. szeroka, oszyta koroneczką.



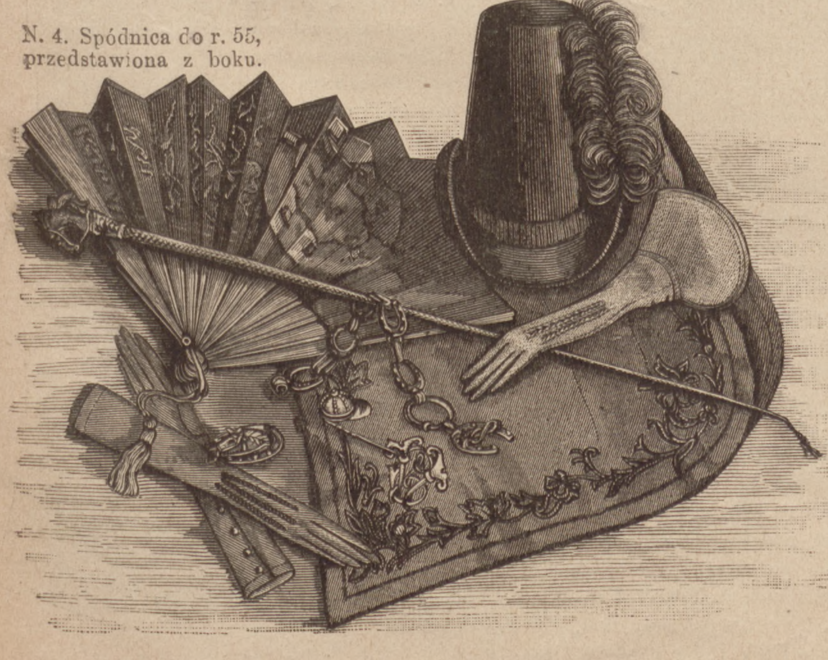
N. 6. Amazonka. Patrz r. 26-29 w N. 14. Krój i opis na arkuszu N. XI, XII i XIII, f. 46—56.

N. 32. Majtki zdobne koronką.

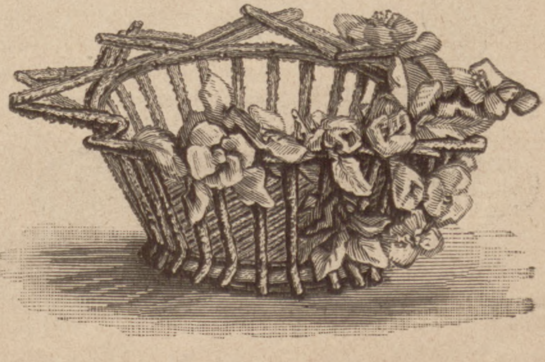
Ryc. 32 przedstawia majtki krótkie i bardzo szerokie, krajane z cienkiego płótna, odpowiednie do koszuli ryc. 34, wszyte u góry w szeroki okrągły karczek. Garnirunek złożony naprzemian z pasków wszywki koronkowej i z pasków batystu, jest ze stron zewnętrznych z boków podniesiony w ząb podług r. 32. Kokardy z wstążki kolorowej.

N. 33. Koszula dzienna krajana w jednej sztuce. Krój na arkuszu N. III. fig. 13.

Przednia i tylna połowa stanu kraje się na ramionach w jednym ciągu



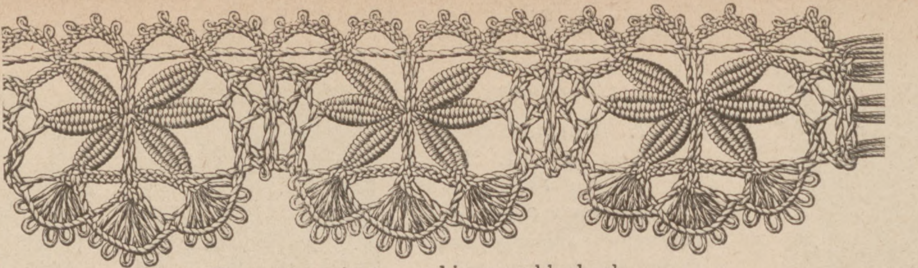
N. 7—15. Rozmaite przybory do jazdy konno.



N. 16. Koszyczek z wypukłemi kwiatami.

podług fig. 13. Wykrój szyi, pachy i brzegi rozporka z przodu zdobi haft podług fig. 39—42, przez który przewłóczy się kolorową wstążkę, wiązaną wkokardy.

N. 34. Koszula balowa. Patrz fig. 34 na arkuszu z krojami. Model był kra-



N. 17. Koronka gipiurowa robiona na klockach.



N. 20. Część aplikacyi do ryc. 18—19.

jany z batystu i ozdobiony walensienką 2 c. szeroką; dość głęboki wykrój szyi z przodu dany okrągło, z tyłu w ząb. Karczek przystębnowany wązką listewką do koszuli, liczy w środku bez koroneczki brzeżnej 5 cent., na ramionach $2^1/_2$, z tyłu na zagłębieniu zęba 3 c. szerokości i składa się naprzemian z zakładek batystowych, $2^1/_2$ c. i z pasków koronki brzegiem prostym zszytej do środka. Zeszycie przykrywa pliseczka batystowa, $^1/_2$ c. szeroka; pod koronkę dawana jest wstążka atłasowa niebieska; wykrój pachy oszyty koronką i pliską. Brzeg karczka u góry i z tyłu oszyty jednym rzędem koronki, z przodu zaś koronka dana trzema rzędami. Zapięcie koszuli dane na ramionach. Majtki odpowiednio garnirowane przedstawia ryc. 32.

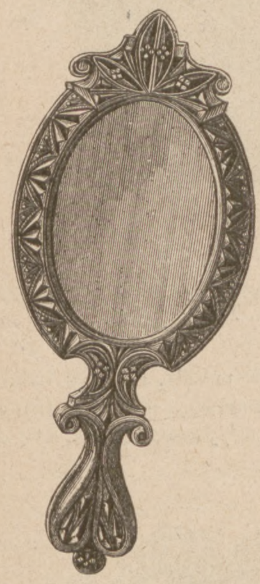
N. 35. Koszula z ażurowym karczkiem.

Krój dopasować można podług formy do ryc. 33, zmieniając wykrój szyi i pachy podług ryc. 35. Karczek może być robiony szydełkiem lub z koronki nicianej robionej na klockach, albo z torsadki na widełkach, do czego wzory znajdują się w Tyg. Mód.

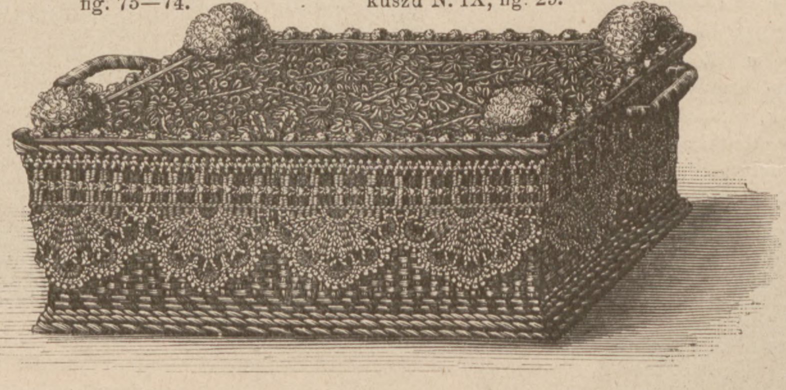


N. 21. Ubranie balowe z długą draperyą. Krój i plecy na arkuszu N. XVII, fig. 73—74.

N. 22. Ubranie balowe. Przód do ryc. 2 w N. 14. Krój na arkuszu N. IX, fig. 29.



N. 25. Lusterko ręczne z ramką z płaskorzeźby. Patrz fig. 37.



N. 24. Kosz z przykryciem, zdobny wyszyciem ściegiem węgierskim łańcuszkowym. Deseń na fig. 35.



N. 26. Szczotka zdobna płaskorzeźbą. Patrz fig. 36.

N. 36. Koszula z obrębem dla młodej panienki.

Można ją krajać podług formy do ryc. 33; wykrój szyi okrągły, równie głęboki z przodu i z tyłu, zakończony jest 2 c. szerokim obrębem, przyszyty kratką ażurową; w środek obrębu nawleczona wstążka kolorowa związana z przodu i na ramionach w kokardę.

N. 37. Koszula z zakładkami dla młodej panienki. Krój na arkuszu N. XV, fig. 63—64.

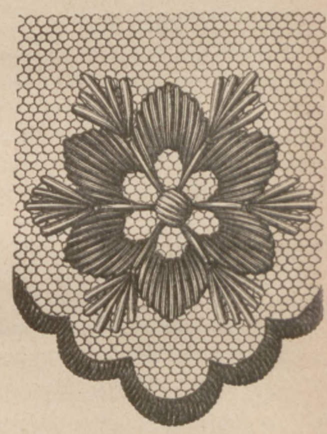
Przednia połowa stanu zwężona jest w górze do 48 c. przez zaszycie wązkich zakładek, po 3 przy sobie, na 12 c. wzdłuż; górny brzeg tylnej połowy stanu przymarszcza się do 44 cent. Wykrój szyi i pachy zakończa pliska stębnowana, 1 cent. szeroka i brzeżek haftowany 2 cent. szeroki. Zapięcie dane na ramionach.

N 38. Koszula nocna z zakładkami. Patrz fig. 77 na arkuszu.

Uszyta z cienkiego półbatystu liczy 119 cent. długości a 107 dolnej szerokości. 41 c. długi rozporek przedni, zapinany na guziki, przykrywa 5 cent. szeroka listewka, przestębnowana w zakładki. Przody koszuli zastębnowane są ugóry w grupy zakładek; rękawy przez zaszycie zakładek zwężone są do 21 cent.



N. 18—19. Poduszka do krzesła. Patrz ryc. 20. Deseń na fig. 79.



N. 23. Koronka do ryc. 54.

Tylna połowa stanu wszywa się w gładki prosty karczek. Wokoło szyi i u rąk haftowana falbanka.

N. 40. Kaftanik nocny.

Uszyty podług formy do ryc. 39 z deseniowej bawełnianej satynki, zdobny zakładkami i falbanką haftowaną, 4 cent. szeroką. Krając przody trzeba w każdej połowie naddać 10 cent materyału przy brzegu przednim, na 6 zakładek po $^1/_2$ c. szerokich. Zapięcie na guziki zasłania falbanka marszczona przystębnowana pliseczką, otaczająca dwa razy szyję.

N. 42. Spódnica krótka batystowa.

Batystowa spódniczka uszyta bez rozporka i ściągana w górze na tasiemki, odpowiednia pod lekkie strojne suknie, ma tylny bryt prosty, 92 cent. szeroki, przykryty trzema falbankami po 20 cent. szerokiemi, 120 długiemi. Przedni bryt liczy 54, boczne po 28 cent. szerokości dolnej; długość przednia 91, tylna 95 cent., dopełniona jest haftowanym wolantem 8 cent szerokim, przyszytym u obrębu 6 cent. szerokiego. Powyżej dane dwie falbany haftowane, po 10 cen. szerokie, a nad niemi wolant 27 cent. szeroki, zastębnowany z przodu w trzy, z tyłu w pięć zakładek po 2 cent. szerokich. Z pod ostatniej zakładki wysuwa się haftowana falbanka.

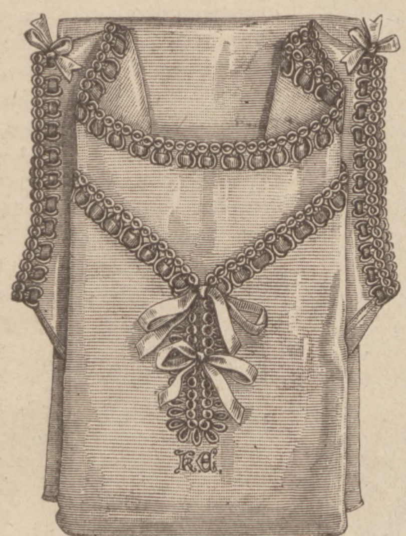
N. 43—45. Spódniczki krótkie. Krój i deseń na arkuszu N. VII, fig. 25—26 i 80—82.

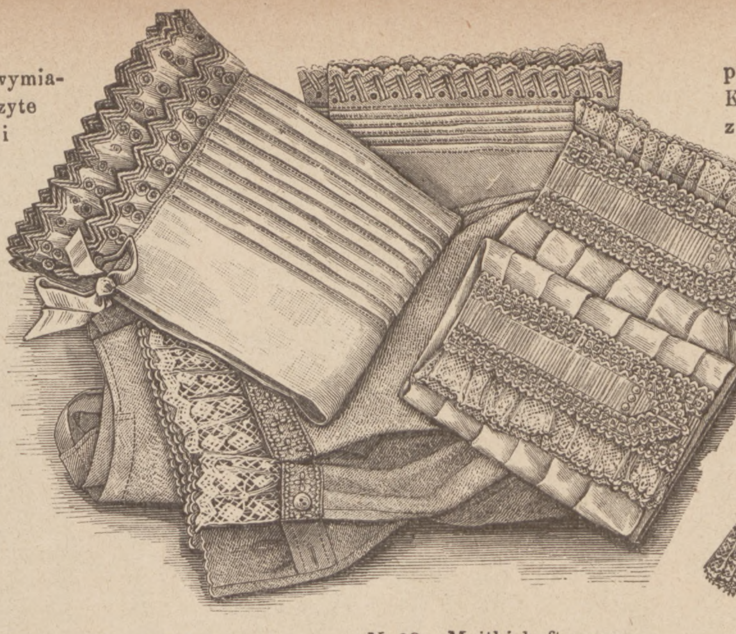
Trzy krótkie spódniczki, tak zwane halki, uszyte są



N. 27. Ubranie dla panienki lat 12—14. Patrz fig. 76.

z materyału satin de France lub z flanelki, podług wymiaru wskazanego na fig. 25. Bryt tylny i boczne zszyte z przednim gładkim brytem, marszczą się do 20 c. i wszywają w pasek, ściągany na tasiemki. Dolny brzeg zaszyty w obrąb 3 cent. szeroki, u spó-

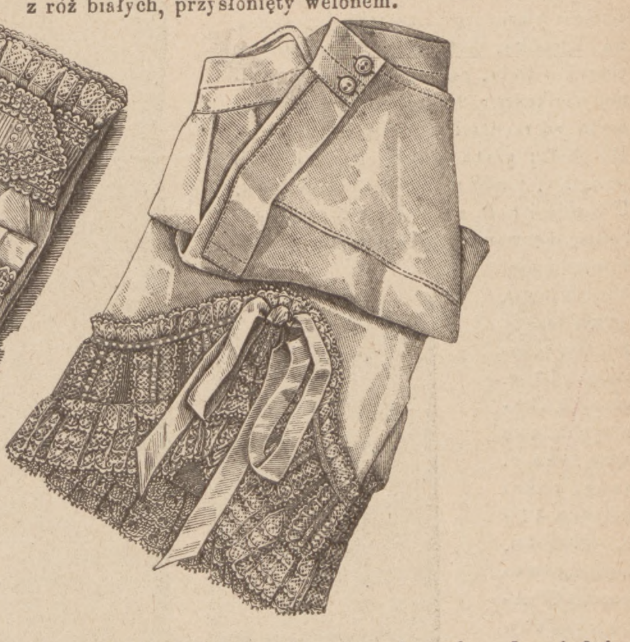




N. 30. Majtki z zakładkami danemi wzdłuż. Krój na arkuszu N. VI, fig. 23—24.

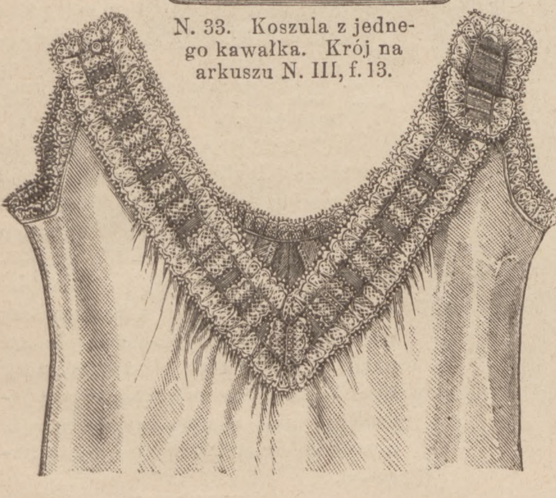
N. 28. Majtki haftowane.
N. 29. Majtki flanelowe.
N. 31. Majtki z zakładkami i koronką.

przodów, plecy zaś przedłużają się w fałdowane karoczko Kieszonka jedwabna zawieszona na wstążce. Wianeczek z róż białych, przysłonięty welonem.

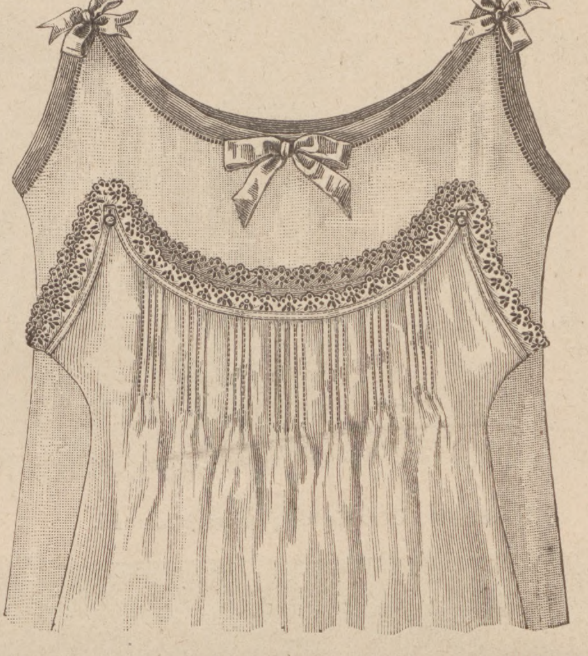


N. 32. Majtki garnirowane koronką, odpowiednie do ryc. 34.

N. 33. Koszula z jednego kawałka. Krój na arkuszu N. III, f. 13.



N. 34. Koszula pod suknię balową. Przód patrz na fig. 34.



N. 36. Koszula z obrębem w górze dla młodej panienki.

N. 37. Koszula z zakładkami dla młodej panienki. Krój na arkuszu N. XV, fig. 63—64.



N. 35. Koszulka z ażurowym karczkiem.

dniczki ryc. 43 zdobią dwie falbany haftowane, zaś na ryc. 44 dany wolant 9 c. szeroki. Ryc. 45 przedstawia spódniczkę wszytą w karczek 10 c. długi, u góry 83, u dołu 118 c. obwodu mający, złożoną z prostego kawałka 198 c. szerokiego, z przodu 66, z tyłu 68 c. długiego. Szlak dolny 9 c. szeroki, haftowany podług deseniu fig. 80 włóczką i jedwabiem.

N. 48—49. Ubranie do pierwszej komunii.

N. 49. Suknia z bluzką.

Odrobiona z cienkiego wełnianego białego materyału i przybrana kokardami z atłasowej wstążki, ma spódnicę à la paysanne z lewego boku dopełnioną plisowanym klinem, na którym brzegi sukni związywane są kokardami. Bluzka ma przody przemarszczone w górze i ponad wcięciem stanu. Szarfa atłasowa. Na głowie czepeczek muślinowy związany wstążką, dopełniony welonem.

N. 50. Zakładka do książki. Patrz ryc. 6 w N. 14 i fig. 78 na arkuszu.

Składa się z kawałka wstążki morowej, 25 c. długiej, 4 szerokiej, podszytej wstążką repsową, 33 c. długą; końce



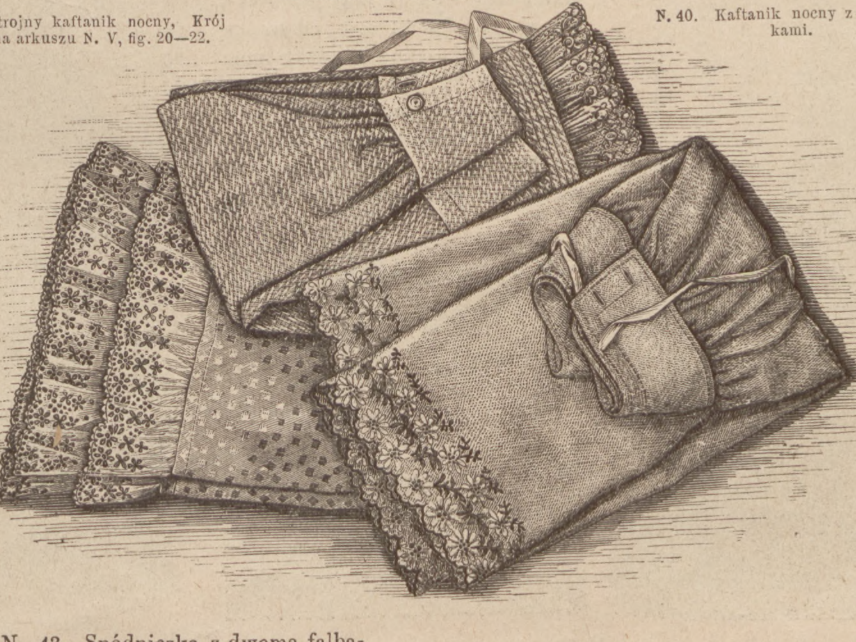
N. 39. Strojny kaftanik nocny. Krój i opis na arkuszu N. V, fig. 20—22.

N. 38. Koszula nocna z zakładkami. Patrz fig. 77.

N. 40. Kaftanik nocny z zakładkami.



N. 41. Penioar z szerokiemi rękawami. Krój, plecy i opis na arkuszu N. IV, fig. 14—19.



N. 43. Spódniczka z dwoma falbanami. Krój i deseń na arkuszu N. VII, fig. 25—26.

N. 44. Spódniczka z wolantem.

N. 45. Spódniczka flanelowa.



N. 42. Krótka spódniczka.

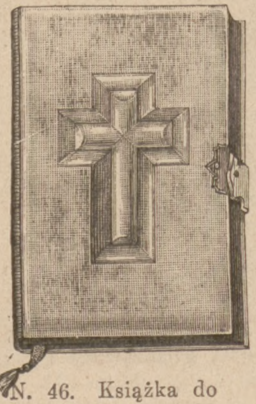
N. 48. Suknia z podpinaną spódnicą.

Odrobiona z białego muślinu, zakończona u dołu kilkoma zakładkami, podpięta suto z tyłu i z boków. Stanik cały na cienkiej podszewce, ma przody przemarszczone na ramionach, środkiem otwarte i dopełnione koronkową szmizetką. Pasek wszyty od boków zasłania dolny brzeg

wstążek wysiepane są na 4 cent. Ryc. 6 w N. 14 wskazuje w powiększeniu wyszycie ściegu użytego w napisie; jest to ścieg cierniowy, połączony z luźnemi ściegami i wypukłemi supełkami. Do wyszycia użyty jedwab różowy, niebieski i nitka złota.

N. 54. Ubranie strojne wizytowe. Patrz ryc. 2 i 23.

Wspaniała suknia z trenem odrobiona jest z czarnego aksamitu i przybra. na koronką, haftowaną kolorowo na czarnym tiulu, podług wzoru w naturalnej wielkości r. 23; takież gwiazdy wyszyte są rzędami na draperyi tiulowej. Do haftu użyta nitka złota i jedwab ponsowy, blado niebieski i oliwkowy. U samego dołu sukni dane 5 cent. szerokie plisowanie z atłasu żółtego, ponsowego i niebieskiego, przysłonięte falbaną aksamitną 13 c. szeroką. Draperya tiulowa liczy 135 c. szerokości dolnej a 110 c. długości, nie licząc w to koronki. Aksamitne bryty stanowiące tren liczą 208 cent. szerokości a 150 długości tylnej i złożone w 4 kontrafałdy. Przy bocznych brytach sukni naddaje się w górze materyał na fałdy à panier. Stanik przedstawiony z tyłu na r. 2, przybrany jest koronką; rękawy koronkowe.



N. 46. Książka do nabożeństwa oprawna w kość słoniową.

N. 55 i 4. Suknia wizytowa z długą draperya. Krój na arkuszu N. XVIII, fig. 75.

Spódnica zakończona u dołu drobnem plisowaniem, naszyta jest szerokim wolantem, układanym w kontrafałdy, a z lewego boku, o ile widoczna z pod draperyi pokryta tiulem koronkowym, wyszywanym perełkami i dżetem. Fig. 75 daje wymiar draperyi; przedni bryt *a* brzegiem bocznym skośnym, sfałdowanym do 28 cent. przyszywa się na sukni o 21 cent. od środka przodu. W miejscu oznaczonem liczbą 41, bryt przedni fałduje się podobnież i przyszywa do prawego boku sukni także na 21 c. od środka. Brzeg górny marszczy się od 41 do 145 na 42 c. szerokości i wszywa w pasek, brzeg boczny sfałdowany od 1 do 56 wszywa się także w pasek, a brzeg górny od 1 do 41 spuszcza w pukiel, przez co tworzą się fałdy widoczne na ryc. 55. Draperya przednia z prawego boku dopełniona jest brytem *b*, którego brzeg górny, zmarszczony do 16 c. wszywa się w pasek; lewy brzeg zszyty z brytem przednim zupełnie gładko, zaś brzeg tylny podpina się w pukiel gwiazdką do gwiazdki, od 22 do 84 ściśle fałduje, a od 84 do 120 marszczy na 10 c. Tylny bryt *c* przy górnym brzegu od 64 do 164 fałduje się na 20 c. i wszywa w pasek, zaś od 1 do 64 ściśle marszczy i wszywa w boczny szew sukni; lewy brzeg bryta złożony na dwa pukle dwukropkiem do dwukropka i krzyżykiem do krzyżyka; dolny brzeg podwija się pod spód podług linii kropkowanej. Jak to widać na r. 4, na środku bryta z tyłu podpina się gdzieniegdzie fałdy. Kokardy z atłasowej wstążki 6 c. szerokiej zdobią draperyę z boku a baskina przy staniku zakończona jest garnirunkiem z pukli, ułożonym z wstążki 3 c. szerokiej. Ryc. 55 przedstawia suknię czarną jedwabną; przy staniku dana kamizelka z gazy koloru morelowego z takąż koronką.



N. 48—49. Ubranie do pierwszej komunii.



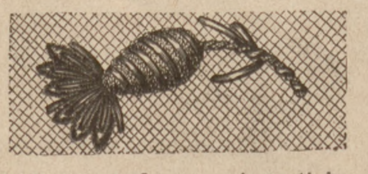
N. 47. Książka do nabożeństwa. Deseń na kości słoniowej patrz fig. 38



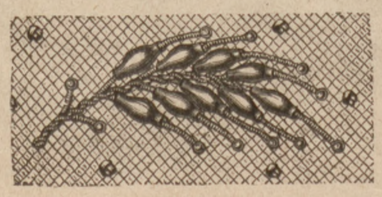
N. 50. Zakładka do książki. Deseń patrz fig. 78.



N. 51. Medalion z kości słoniowej.



N. 52. Rzucik do wyszycia na tiulu.



N. 53. Wyszycie bajorkiem i perełkami na tiulu.



N. 54. Ubranie strojne wizytowe z trenem. Patrz ryc. 2 i 23.



N. 55. Suknia wizytowa z długą draperyą. Patrz ryc. 4. Krój na arkuszu N. XVIII, fig. 75.